

Margaret Way

W twoich ramionach

scandalous

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Lotnisko w Darwin Terytorium Północne Australia

Daniel przebiegał wzrokiem po tłumie zgromadzonym na lotnisku. Miał dobry widok, bo górował nad wszystkimi wzrostem, bez trudu więc wypatrzył młodą kobietę, po którą przyjechał. Wielu turystów przybyło tu po to, by zobaczyć wspaniały Park Narodowy Kakadu wpisany na światową listę UNESCO, ale widział też sporo znajomych wracających z wakacji na wschodnim wybrzeżu lub podróżujących w interesach. Kobieta, której oczekiwał, to jego nowa szefowa. Umówili się, że będzie stała przy stanowisku do odprawy pasażerów i trzymała prospekt reklamowy Terytorium Północnego, toteż przeciskał się tam, wymieniając po drodze powitania. Był tu znaną osobą, bo od sześciu lat pracował u niedawno zmarłego hodowcy bydła Rigbyego Kingstona. Dzisiaj miał spotkać powracającą po wielu latach do domu jego wnuczkę i zawieźć ją na ranczo.

Co prawda byłoby wygodniej, gdyby panna Alexandra Kingston poleciała do Alice Springs, bo żeby dotrzeć z Dar-

win do Moondai, będą musieli przelecieć helikopterem nad całym Red Centre, ale Daniel chciał za jednym zamachem odebrać nową szefową, która przylatywała z Brisbane, i odwiedzić jednego z pracowników na zabieg do szpitala w Darwin. Poza tym dzięki podróży helikopterem panna Kingston będzie mogła obejrzeć cudowne rozlewiska Top Endu ze wspaniałym ptactwem, starorzecza gęsto pokryte różnobarwnymi liliami wodnymi, zachodni skrawek Parku Narodowego Kakadu oraz rzekami North, East i West Alligator, które przemykają przez dżunglę. Ta zdumiewająca panorama, a zwłaszcza niekończące się ławice lilii wodnych i huczące wodospady, które pojawiają się w porze deszczowej, stanowiły dla Daniela taki sam symbol Top Endu jak krokodyle.

Był już marzec. Pora deszczowa, gunemeleng w języku aborygeńskim, prawie się skończyła. Dwa cyklony nawiedziły tropikalną północ. Na szczęście pierwszy z nich, Ingrid, którego bardzo się obawiano, skrzył w kierunku morza Timor, wywołując ulewne deszcze na wybrzeżu i w głębi lądu. Tak silne opady, niespotykane od dziesiętków lat, sprawiły, że pustynny Red Centre zamienił się w ogród. Prastara rzeka Finke, wyschnięta przez okrągły rok, wylewała się z koryta. Widok wodospadów staczających się po żółto-brunatnych skałach na malownicze zielone żleby wywoływał zachwyty.

Urodzony w północnej, tropikalnej części Queenslandu, w pobliżu imponujących lasów deszczowych Daintree, Daniel zakochał się w pustynnym pejzażu. Może pannie Kingston też się spodoba. W końcu urodziła się w Moondai i przeżyła na ranczu ponad dziesięć lat.

- Dan!

Dobrze zbudowany, sympatyczny mężczyzna około sześćdziesiątki, który właśnie przyleciał z Brisbane, pomachał do niego ręką. Był to Bill Morrissey, powszechnie szanowany członek administracji Terytorium Północnego.

- Witam pana! - powiedział z szacunkiem Daniel.

- Ależ tu gorąco! - Morrissey otarł białą chusteczką pot z czoła. - Co cię sprowadza do Darwin?

- Przyjechałem odebrać z lotniska Alexandrę Kingston. Mam zawieźć ją na ranczo.

- O Boże! Biedne dziecko. Nie chciałem być w jej skórze. Testament Rigbyego doszczętnie skłócił całą rodzinę. Ale tak to już jest, gdy zabraknie prawdziwego dziedzica.

- Niestety. Pan Kingston nie mógł liczyć ani na swego syna Lloyda, ani na wnuka. Może miał za duże wymagania, ale wydaje mi się, że niezbyt nadają się na hodowców bydła.

- W wielu bogatych rodzinach tak bywa, że nie wszystkie dzieci mają głowę do biznesu. Ojciec tej dziewczyny, Trevor, był taki sam jak stary Rigby. To prawdziwe nieszczęście, że zginął w katastrofie. Ale chyba nie wyjeżdżasz jeszcze z Moondai, Dan? Nie daliby sobie rady sami. Choć jesteś młody, to zdobyłeś szacunek tutejszych ranczerów.

- Dziękuję, panie Morrissey. Zgodnie z ostatnią wolą pana Kingstona mam pracować jeszcze rok na ranczu.

Morrissey położył rękę na jego ramieniu.

- Wszystko będzie dobrze. Nauczysz tę dziewczynę, jak kierować ranczem. Ile masz lat, chłopcze?

- Dwadzieścia osiem. - Tak wiele już przeżył, że nieraz czuł się jak pięćdziesięciolatek.

- Czy wiesz, jak cię wszyscy cenia?

Daniel się uśmiechnął.

- To miło. Może sobie na to zasłużyłem?

- Rigby był wymagający i surowy, lecz na pewno tak uważał.

- To prawda, że miał trudny charakter, ale był bardzo sprawiedliwy. Umiał słuchać ludzi i pewnie dzięki temu odniósł sukces.

- Mam nadzieję, że zostaniesz w Terytorium Północnym, chłopcze. Jesteś zdolny i inteligentny. Potrzeba nam takich ludzi. - Ucisnął rękę Daniela. - Muszę już iść. Czeka na mnie szofer. Wpadnij do mnie, kiedy znów przyjedziesz do Darwin: Za rok, gdy skończy ci się kontrakt, gwarantuję, że będę miał dla ciebie odpowiednią ofertę.

- Trzymam pana za słowo. - Daniel się uśmiechnął.

- A, byłbym zapomniał... Joeł Moreland kilka razy wspominał, że chciałby się z tobą spotkać. Masz szczęście, chłopcze. To wielka postać w Terytorium Północnym. Umówimy się we trójkę na lunch.

- Wspaniale! - ucieszył się Daniel. Nigdy nie zaszkodzi mieć znajomych w ważnych kręgach. Joel Moreland był znany jako ten, który zamienia wszystko, czego się dotknie, w złoto. W jego trwającej czterdzieści lat karierze nie było ani jednej porażki. Przeżył jednak osobistą tragedię, gdy jego jedyny syn, Jared, zginął w wypadku na rodeo, ratując nastolatka przed szarżującym bykiem. Śmierć nie ma litości nawet dla bogaczy.

Daniel wiedział, co to znaczy być biednym, ale nigdy nie czuł z tego powodu kompleksów. Zawsze był energiczny i odważny. W dzieciństwie często staczał bójki w obronie honoru swojej ślicznej, młodej matki, gdy łobuziaki wyzywały ją od ostatnich, miała bowiem nieślubne dziecko. Przed dwudziestu laty w małej mieścinie w Queenslandzie nikt nie słyszał o politycznej poprawności i takie dziecko nazywało się bękartem, a jego matkę dziwką.

Jednak miał też w życiu łut szczęścia. Kiedy bał się, że matka ze zgryzoty może odebrać sobie życie, poznał hodowcę bydła Harryego Cunninghama z Channel Country. Zawdzięczał mu swoją edukację.

Zrewanżował się Harryemu, przywracając do życia jego zaniedbane ranczo, tylko po to, by córka starego Cunninghama miesiąc po śmierci ojca pozbyła się majątku. Jej mąż, wielkomięjski elegant, nie chciał nawet słyszeć o tym, żeby mieszkać na ranczu.

To właśnie Harry powiedział Rigbyemu o Danielu. W ten sposób Daniel zdobył pracę w Moondai i wkrótce awansował na zarządcę rancza. Kingston zawsze liczył się z jego zdaniem, zupełnie ignorując swego syna Lloyda oraz wnuka Bernarda. Rzadko zdarza się, żeby ktoś zostawiał majątek nie synowi, ale wnuczce, i to takiej, którą przed laty wypędził z domu. Jaki był tego powód? Czy Rigby chciał, żeby po jego śmierci ranczo popadło w ruinę, skoro nie mógł przekazać go ukochanemu synowi Trevorowi? Rigby Kingston był bardzo dziwnym człowiekiem. Jednak ten stary tyran zostawił Danielowi w spadku ćwierć

miliona dolarów, pod warunkiem, że zostanie jeszcze rok w Moondai.

To wszystko było takie dziwne!

Po chwili Daniel zauważył pannę Kingston. Filigranowa dziewczyna stała na jednej nodze jak żuraw, trzymając w dłoni ilustrowany prospekt. Zdziwił się, bo oczekiwał, że zobaczy elegancką młodą kobietę, a nie dziecko. Alexandra skończyła dwadzieścia lat, ale wyglądała na szesnaście. Miała idealnie gładką cerę bez śladu makijażu i była ubrana w błękitno-srebrny T-shirt i dzinsy.

Aż podskoczyła, gdy położył na jej ramieniu rękę. Do diabła, chyba nie był taki straszny? Wprawdzie miał za długie włosy, bo dawno nie był u fryzjera, ale za to jej złote włosy przypominały płatki kwiatu i były niewiele dłuższe niż centymetr. Wielkie błękitne oczy i zmysłowe, pięknie zarysowane usta sprawiały, że wyglądała zarazem jak niewinna dziewczynka, i jak bogini seksu. W każdym razie przyszła bogini seksu, bo na razie sprawiała wrażenie dziecka, i to raczej zahukanego dziecka.

- Panna Kingston? - spytał ochrypłym z wrażenia głosem.

- Sandra. Nikt nie zwraca się do mnie „panna Kingston”. - Przygładziła włosy, jakby niezbyt dobrze czuła się w tej fryzurze.

Chyba niedawno je obcięła, pomyślał. I to sama. Może jako wyraz buntu?

- W porządku. Jestem Dan Carson. Mam zawieźć cię do domu.

- To miło - odparła z błyskiem w oku. - Tylko że Moon-dai nie jest moim domem, panie Carson.

- Daniel lub Dan, a już z pewnością nie „pan Carson”.
- Uśmiechnął się.

- Świetnie! Czyli dyplomatyczne korowody mamy już z głowy.

To niewinnie wyglądające dziewczątko Wcale nie było takie zahukane.

- Dużo masz walizek?

- Tylko jedną. - Odwróciła głowę. Za wszelką cenę chciała ukryć, jakie wrażenie zrobił na niej czarnowłosy, wysoki i przystojny Daniel Carson.

Wokół rozbrzmiewał wielojęzyczny gwar. Choć dominował język angielski z akcentem australijskim, brytyjskim, amerykańskim i nowozelandzkim, dało się także słyszeć włoski, grecki, języki azjatyckie i skandynawskie.

Sandrę złościło, że Daniel bez przerwy uśmiecha się i macha ręką do przechodzących obok atrakcyjnych kobiet. Ma sporo znajomych, pomyślała, dziwiąc się, że wywołuje to w niej zazdrość.

- Kobiety zwykle podróżują z mnóstwem bagaży - rzucił z uśmiechem.

- Przyjechałam tu na krótko - odparła szorstko.

- To dziwne, biorąc pod uwagę, że odziedziczyłaś wielkie ranczo.

- Tak cię to dziwi? - Jej oczy błysnęły groźnie.

Nie, z pewnością nie była zahukana i z pewnością nie była dzieckiem, pomyślał.

- Twój dziadek musiał mieć powody, żeby przekazać ci ranczo.
- Tak, miał powody. - Parsknęła śmiechem. - Nienawidził mnie i chciał, żeby po jego śmierci Moondai zamieniło się w ruinę. Poza tym zawsze lubił bawić się rodziną. Dlaczego przyjął cię do pracy? - Spojrzała mu prosto w oczy.
- Przecież na ranczu jest wujek Lloyd i jego syn Bernie.
- Obaj gustują w innym życiu. - Spojrzał w przestrzeń.
- Prawdę mówiąc, ta praca trafiła mi się przypadkiem.
- I nie zamierzasz poszukać innej?
- Zgodnie z testamentem muszę zostać jeszcze rok.
- Co? - Wsadziła ręce do kieszeni spodni. Miała tak wąską talię, że Daniel mógłby objąć ją dłońmi.
- Nie wiedziałaś?
- Nie chciało mi się słuchać treści testamentu.
- Szkoda.
- Jesteś bardzo młody jak na zarządcę rancza. - Obrzuciła go krytycznym wzrokiem.
- Szybko się usamodzielniałem, bo miałem ciężkie dzieciństwo.
- Trudno w to uwierzyć. - Wyglądał jak prawdziwy macho gotów do następnego podboju. - Byłam pewna, że urodziłeś się przy dźwiękach strzelających korków od szampa i mając dwa lata, jeździłeś na kucyku.
- Nic z tych rzeczy. - Uśmiechnął się ponuro, potem wziął walizkę, która właśnie pojawiła się na pasie transmisyjnym. - Dobrze się czujesz? - spytał, widząc, że Sandra nagle zbladła.
- Nie.

- Jadłaś coś w samolocie?

Mogłaby przysiąc, że na lewym policzku ma dołeczek.

- Ogromny stek z frytkami - odparła z sarkazmem. - Nie, tak naprawdę napiłam się tylko soku. Nie mogę jeść podczas lotu, bo mam mdłości.

- W takim razie musisz teraz coś przekąsić.

Kiedy zajęli stolik w barze, nawet nie pytał, na co ma ochotę, tylko od razu skierował się do lady.

- To ci dobrze zrobi - powiedział, wracając po chwili z kawą i tacą pełną kanapek i ciasteczek. - Kanapki z szynką i awokado. Na pewno są smaczne. - Przez chwilę przyglądał się, jak z apetytem jadła bułeczkę, potem spytał: - Skąd ta dziwna fryzura? - Gdy w jej błękitnych oczach pojawił się ból, dodał szybko: - Przepraszam. Masz prawo strzyc się, jak chcesz.

- Moja mała przyjaciółka zmarła niedawno na białaczkę. Miała zaledwie siedem lat. Kiedy straciła włosy po naświetlaniach, obcięłam swoje, by czuła się różnie. Śmiałyśmy się, że wyglądamy jak wariatki.

- Smutna historia - powiedział ze ściśniętym gardłem.

- Sama chciałam umrzeć.

- Jak ta dziewczynka miała na imię?

- Nicole. Mówiliśmy na nią Nikki.

- Śmierć dziecka to coś tak strasznego... Dziecka, ojca, matki... ukochanej osoby.

Naprawdę jej współczuł, choć był dla niej kimś obcym. Skinęła głową i po raz pierwszy odważyła się spojrzeć mu w oczy. Były srebrzystoszare, przysłonięte czarnymi rzęsami. Ogorzały, prosty nos, krzaczaste czarne brwi. Choć

był ogolony, jego zarost na pewno by ją podrapał. Dreszcz przeszedł jej po plecach. Ale co tam wygląd! Najważniejsze, że Daniel był taki miły.

- Czy wiesz, że wyglądasz na szesnaście lat? - powiedział w pewnej chwili.

- Za pół roku będę miała dwadzieścia jeden. To znaczy, jeśli moja rodzina w Moondai pozwoli mi dożyć dnia urodzin.

Odstawił z impetem kubek.

- Chyba żartujesz.

- Wcale nie. Po śmierci taty wyjechałyśmy z matką z Moondai. Miałam wtedy dziesięć lat. Nie byłam grzecznym dzieckiem, wyrzucili mnie z dwóch szkół... ale to inna historia. Czy wiesz, jak zginął mój tata? Rozbił się helikopterem.

- Wiem. - Nie spuszczał z niej wzroku.

- A wiesz, że ktoś celowo sprokurował ten wypadek?

- To niemożliwe, przecież...

- Niemożliwe?! - krzyknęła.

- Uspokój się, Sandro - odparł cicho. - Eksperci stwierdzili, że to był wypadek. Zresztą kto chciałby zabić twego ojca?

Wypiła duży łyk kawy, zakłęła pod nosem.

- Myślisz, że jesteś taki mądry, zresztą musisz być, skoro rządysz ranczem, ale to pytanie było bardzo głupie. Kto mógł najwięcej zyskać na jego śmierci?

Zerknął na nią niespokojnie.

- Nie lubisz swego wujka, co?

- A ty?

- Moim zadaniem jest zarządzać ranczem, a nie krytykować twoją rodzinę.

- To znaczy, że nie jesteś po mojej stronie?

- Wszystko zależy od ciebie.

- Nie chcę tego rancza.

- Rozumiem... A komu je przekażesz, mnie? - Uśmiechnął się.

Westchnęła głęboko.

- Wolę oddać je komuś obcemu niż rodzinie.

- A kuzyn Berne?

- Och, Bernie... Czy też Berne, za Berniego potrafił się obrazić, bo to dziecinnie brzmi. - Uśmiechnęła się ironicznie. - Zawsze był okropny. Szczypał mnie i kopał moją kotkę. Pewnie teraz nie jest lepszy.

- Sama się przekonasz.

- W tym domu nie mam żadnej życzliwej duszy. - Przygryzła wargi.

- Pamiętaj, że zawsze możesz na mnie liczyć, Sandro.

- I na nikogo więcej. Nie miałam zamiaru wylewać przed tobą swoich żalów, ale naprawdę boję się rodziny.

- Ależ Sandro, nikt ci nie zrobi krzywdy. - Czyżby? Daniel zadumał się na chwilę. Kingstonowie byli dziwni, ale to przecież nie mordercy. Z drugiej strony Rigby Kingston zostawił majątek wart sześćdziesiąt milionów dolarów, i oto Sandra miała sprzątnąć im wszystko sprzed nosa.

- No i co? - zawołała triumfalnie, widząc jego zamyśloną minę. - Zmieniłeś zdanie? Wiesz, jakim zaskoczeniem musiał być dla nich ten testament? Wujek Lloyd na pewno spodziewał się, że będzie głównym spadkobiercą. Nie zo-

stałby w Moondai, tylko by je sprzedał. Tak samo Bernie. On nienawidzi pracy na ranczu. Na pewno o tym wiesz. Wujek nigdy mnie nie lubił. Jego ekszona Jilly zawsze dokuczała mojej matce. Była wstrętna. Nic dziwnego, że to małżeństwo się rozpadło. Bernie mnie nie cierpiał. Raczej nie są zachwyceni, że teraz przyjechałam.

- A jaki był twój dziadek?

- Rigby Kingston? Największy ponurak w całej Australii. Nie, może ze dwa razy pogłaskał mnie po głowie.

- Cóż, nie był zbyt wylewny. - Co za paradoks, że zostawił cały majątek właśnie wnuczce, dodał w duchu.

- Dziadek ignorował mnie, ale był szczęśliwy, dopóki żył mój ojciec - ciągnęła Sandra. - Potem zrobił się straszny. Winił za wszystko moją matkę.

- Dlaczego?

- Wujek Lloyd wykrył, że mama miała przelotny romans w Sydney. Pewnie słyszałeś, że mama często wyjeżdżała z Moondai? Wujek zawsze lubił pracować publicznie brudy.

Nie da się ukryć, że w całej okolicy huczało od plotek na temat romansów Pameli Kingston, kobiety pięknej i obdarzonej wielkim temperamentem. Wielu wątpiło, czy Trevor jest ojcem jej dziecka. Sandra faktycznie nie była podobna do Kingstonów. Wszyscy byli wysocy, ciemnowłosi, ciemnocy i ponurzy. Pamela często jeździła do Sydney i Melbourne, a półtora roku po śmierci męża po raz drugi wyszła za mąż. To małżeństwo szybko się rozpadło i teraz miała trzeciego męża i małego synka. Sandra pewnie wcześniej opuściła dom, bo teraz, gdy Daniel już trochę ją poznał, musiał przyznać, że jest osobą bardzo samodzielną.

- O czym tak myślisz? - spytała.
 - Zastanawiam się, kiedy się wyprowadziłaś z domu. Zaczęła przesuwać na stole sól niczkę i pieprzniczkę.
 - Prawdę mówiąc, nigdy nie miałam domu.
 - Tak jak ja.
 - Naprawdę? - ożywiła się.
 - Nie mam zamiaru ci się zwierzać, panno Kingston.
 - Czy to znaczy, że za dużo mówię? - spytała cierpko.
 - Wcale nie. Trudno mi uwierzyć, że byłaś samotna.
- Westchnęła teatralnie, sięgając po kanapkę z talerza Daniela.

- Tak to jest, gdy matka ma trzech mężów.

- Jednym z nich był twój ojciec.

Sandra aż zakrztusiła się jedzeniem.

- Ten skurczybyk Lloyd wciąż twierdził, że to nie on.

Daniel zacisnął szczękę. Dobrze wiedział, jak to jest, gdy ktoś nazywa cię bękartem.

- Cóż, muszę przyznać, że nie jest miłym człowiekiem.

- To przestępca. Udowodnię to. Wciąż atakował moją matkę! Tata zawsze mówił, że jestem jego córeczką. Nazywał mnie swoim oposikiem. Bez przerwy powtarzał, że mnie kocha. Byłam zrozpaczona, kiedy zginął. Bardzo potrzebowałam go z mamą. Okropnie jest żyć samemu. - Znów zagryzła wargi, które zrobiły się czerwone.

- A więc mężczyzna jest potrzebny?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Ojciec jest bardzo ważny.

Czy nie myślał tak samo? Nawet najgorszy ojciec liczy się dla dziecka.

- Twój tata umarł, ale jestem pewien, że matka cię kocha. Dziadek również kochał cię na swój sposób.

- Ciekawe! - zadrwiła gorzko. - Jak to ładnie brzmi: „Na swój sposób”.

- Zostawił ci ranczo. Czy zostawia się majątek komuś, kogo się nienawidzi? Dziadek wydziedziczył syna i wnuka, który jest starszy od ciebie o trzy lata.

- Umieć liczyć - odparła, biorąc z jego talerza kolejną kanapkę. - Studiowałam nawet na uniwersytecie. Nieźle zakuwałam.

- Nie wyściubiałaś nosa z książek?

- Coś w tym rodzaju. - Wzruszyła ramionami. - Zamykałam się w pokoju. Mój ojczym Jeremy Linklatter IV miał na mój temat brudne myśli.

- Co?! - Daniel nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- Nie można już nikomu ufać. A na pewno nie ojczymom.

- Do diabła! Chyba nie zrobił ci nic złego?

- Nie do końca. - Skrzywiła się z pogardą na wspomnienie Jema. Prawdę mówiąc, nie mogła uwierzyć, że zdradziła Danielowi swój największy sekret.

- Dzięki Bogu - odetchnął z ulgą. - Co za drań! Kiedy się wyprowadziłaś z domu?

Wzruszyła ramionami, zlizując z palców awokado.

- Poszłam do szkoły z internatem, a potem na uniwersytet. Wszędzie było bezpieczniej niż w domu.

- Czy matka wiedziała, co się dzieje? Na Boga, przecież to sprawa dla prokuratora. No i chodziło o jej dziecko...

- Matka widzi tylko to, co chce. Taka już jest. Poza tym

Jem potrafił wykorzystać dogodny moment. Musiałam być zawsze czujna. Czasem bardzo podejrzanie mnie ścisnął i całował. Kiedyś uszczypnęłam go w twarz tak mocno, że aż krzyknął. Potem nosiłam przy sobie broń.

- Jaką broń? Paralizator?

- Coś w tym rodzaju. Strzykawkę ze środkiem nasennym.

- Żartujesz!

- Żartuję, choć nie jest to wesoły temat. Byłam zrozpaczona i przerażona tym, co się dzieje... Tak naprawdę nosiłam w kieszeni wojskowy nóż taty.

Zmarszczył brwi. To okropne, żeby młoda dziewczyna musiała uciekać się do takich środków bezpieczeństwa.

- Chciałbym spotkać tego Jema - oznajmił ponuro.

- Nie masz powodu się nade mną użalać. Nic mi się nie stało. To nędzny robak. Roznosiło go. Tacy są mężczyźni.

- Nieprawda. Tych niewielu prawdziwych drani psuje nam opinię. Gwałciciele są ohydni.

Sandra skończyła jeść kanapki i odgarnęła włosy z czoła.

- Miałaś kiedyś długie włosy? - spytał, patrząc na jej smukłe palce.

- Owszem. Niektórzy uważali nawet, że są bardzo ładne. Ale byłam głodna! Dobrze były te kanapki. Teraz może zjem ciasteczko. - Cofnęła wyciągniętą rękę. - Nie, to twoje,

- Weź. I tak ty płacisz.

-Co?

- To tylko żart.

- Mam pewien pomysł - powiedziała zmienionym głosem. - Chcę, żebyś zamieszkał u nas w domu.

Uniósł brwi.

- Chyba nie mówisz poważnie.

- Owszem.

- Wykluczone - odparł stanowczo.

- Dan, nie zapominaj, że jestem twoją szefową. Powin-
nam mieć ochronę.

- Twój strach jest bezpodstawny, Sandro.

- To twoje zdanie! - Wyprostowała się gwałtownie. -
Wiesz, ilu ludzi traci życie z powodu rozgrywek o pienią-
dze? Mnóstwo!

- I mało komu uchodzi to bezkarnie.

- Różnie z tym bywa - stwierdziła ostro.

Przez chwilę przyglądał się jej zaczerwienionym policz-
kom.

- Mylisz się, Sandro, jeśli myślisz, że ktoś z twojej rodzi-
ny byłby zdolny do morderstwa. Poza tym za rok kończy
się mój kontrakt. Twój wujek i kuzyn nie patrzą na mnie
przychylnym okiem. Nie pozostanie mi nic innego, jak wy-
jechać.

- Nie wyjedziesz, dopóki będziesz mi potrzebny - po-
wiedziała władczym tonem. -I zamieszkas u nas. Dobrze
pamiętam, jak wielki jest ten dom. Można by po nim jeź-
dzić autobusem.

- Na razie zostawmy ten temat. Przekonajmy się naj-
pierw, co myśli twoja rodzina.

- W porządku. A tak w ogóle, to skąd pochodzisz?

- Zewsząd.

- To jesteś jeszcze lepszy niż ja... A trochę dokładniej?

- Może nie dzisiaj.

Spojrzała na niego badawczo.

- Zawrzyjmy kompromis. Powiedz mi tylko, gdzie nauczyłeś się zarządzać ranczem.

- Czy pokazać ci też metrykę? Mam dwadzieścia osiem lat.

- Niewiele jak na zarządcę rancza.

- W takim razie jestem ósmym cudem świata. Zresztą uczyłem się od najlepszych. Matka i ja podróżowaliśmy po Queenslandzie, a kiedy miałem jedenaście lat, dotarliśmy do Channel Country. Harry Cunningham, właściciel rancza, po śmierci żony zatrudnił moją matkę jako gospodynię. Mieszkaliśmy tam, dopóki nie umarł. Jego córka wkrótce potem sprzedała ranczo. Harry chyba przekręcił się w grobie. Ale takie jest życie.

- Gdzie jest teraz twoja matka?

Jego twarz skamieniała.

- Jestem sierotą tak jak ty, Alexandro.

- Przepraszam. - Zrozumiała, że nie pogodził się jeszcze z utratą ukochanej osoby. Ona też była sierotą od dnia, gdy matka wyszła za bogatego drania Jema.

- Co się z nią stało? - spytała łagodnie.

- Nie mówmy o tym... - Uciekł spojrzeniem.

ROZDZIAŁ DRUGI

Podróż była fascynująca. Sandra ze zdumieniem oglądała rozpościerający się w dole pejzaż. Oczywiście przed startem Daniel musiał długo ją uspokajać. Bardzo często, nie widząc przez okno skrzydła maszyny, pasażerom wydaje się, że śmigłowiec zaraz spadnie. Ale Sandra od dziecka bała się latania, gdyż jej ojciec rozbił się w górach McDonnell, niedaleko Moondai, pilotując cessnę.

Wypowiadane ze szlochem słowa matki wciąż tkwiły w jej pamięci:

- To Lloyd jest winien, Sandy. Twój wujek. Wiedział, jak spowodować ten wypadek. Zawsze był zazdrosny o twojego ojca. Za nic nie chciał dopuścić, żeby to on odziedziczył ranczo.

Czy mogła czuć się bezpiecznie, skoro teraz to ona była spadkobierczynią posiadłości dziadka? Podobnie jak kiedyś ojciec, znalazła się na celowniku. Tylko że nie była ufna tak jak on, bo życie nauczyło ją mieć się zawsze na baczności. Dlatego postanowiła zapewnić sobie ochronę. Daniel Carson musi przenieść się na jakiś czas do jej rodzinnego domu. Ktoś taki jak on dawał kobiecie poczucie

bezpieczeństwa. Nie przeszkadzało jej nawet, że musi zadzierać głowę, kiedy chce na niego spojrzeć.

Był doskonałym pilotem. Prowadził helikopter z takim spokojem i pewnością, że nic złego nie mogło się stać. Łagodnie unosili się w powietrzu i zamiast lęku, czuła przyjemne podniecenie.

Rozległy dziki krajobraz rozświetlony blaskiem tropikalnego słońca wywierał niesamowite wrażenie. Na tej ziemi nic nie zmieniło się od wieków. Było jeszcze piękniej, niż pamiętała z dzieciństwa.

Wielkie, zalane wodą równiny połyskiwały w dole. Wezbrane rzeki z malowniczymi przełomami były niedostępne w porze deszczowej i można je było oglądać tylko z wysokości. Z prawej strony ukazał się spieniony biały wodospad, który opadał na kamienną skarpcę, wzbijając białą zasłonę mgły. Zbocza kanionu pulsowały pomarańczowoczerwonym blaskiem niczym palenisko przetykane pasmami opalizującej żółci i różu.

Kiedy wody opadną, ziemia da obfity plon. Ptaki i zwierzęta zaczną płodzić potomstwo. Polne kwiaty pokryją ciepłą, żyzną glebę. Różne gatunki palm i pandanów wypuszczą nowe liście, zakwitną żółte i purpurowe grewille, hibiskusy i gardenie będą rozsiewać swój zapach, ubarwiając soczystą zieleń. Trudno nawet opisać słowami ten widok. Po latach spędzonych w mieście Sandra przypomniała sobie niezwykle piękno australijskiego buszu. Tu spędziła szczęśliwe dziecięce lata. Może dobre czasy jeszcze powrócą?

W dole rozciągały się laguny wypełnione po brzegi li-

liami wodnymi. Sandra rozpoznawała wszystkie gatunki kwiatów: święty kwiat Buddy, czerwony, różowy, biały i kremowy lotos, a także olbrzymie błękitne lilie wodne o rozłożystych płatkach. Jednak władca wodnej krainy czaił się w pobliżu. Groźny krokodyl morski. Sandra wzdrygnęła się na samą myśl. W Moondai nie było krokodyli, choć ze wspaniałych rysunków naskalnych pozostawionych przez Aborygenów wynikało, że w prehistorycznych czasach zamieszkiwały w legendarnym morzu w głębi lądu.

Daniel odwrócił głowę i uśmiechnął się z zadowoleniem. Ona także się uśmiechnęła. Byli zauroczeni pięknem natury, przestrzenią, barwami i słońcem. To była kwintesencja australijskiego buszu. Powietrze jaśniało jak kryształ. Sandra zupełnie zapomniała o tym, że jeszcze niedawno była niechętnie nastawiona do Daniela. Teraz czuła się dobrze w jego towarzystwie, jakby łączyła ich jakaś niemal telepatyczna więź. Był w jej typie. Takie rzeczy wie się od razu.

Nagle zorientowała się, że helikopter leci wolniej. Znad rozmokłej ziemi czuć było unoszące się opary.

- Wszystko w porządku? - spytała zachrypniętym głosem. Jego profil znieruchomiał.
- Siedź prosto. Tracimy szybkość.

W jednej chwili ogarnęła ją panika. Beztroski nastrój zniknął. Najgorsze obawy zaczęły się spełniać. Mieli kłopoty. Ale czyż nie towarzyszyły jej bez przerwy? Helikopter tracił wysokość i prędkość. Zerknęła na wysmukłe pnie eukaliptusów, które tkwiły nie wiadomo jak głęboko w wodzie. Całe szczęście, że potrafiła pływać. A krokodyle?! Jej

życie nie było usłane różami, ale mimo wszystko szkoda było się z nim rozstawać. Nie chciała umierać!

Chyba trzeba się pomodlić. Tylko po co? Żadne modlitwy nie uchroniły Nikki przed przedwczesną śmiercią. Ale nie pora kłócić się z Bogiem. Może przyszedł już jej koniec? Jej i Daniela Carsona. Czy nie dlatego wydawał się jej tak bliski, że było im przeznaczone razem umrzeć?

Nagle ogarnęła ją złość. Dość nieszczęść spotkało ją w życiu. Nie podda się tak łatwo przeznaczeniu. Choć nie zdoła zrobić wiele, to przynajmniej pomoże Danielowi znaleźć miejsce, w którym mógłby wylądować.

Wyteżyła wzrok, wpatrując się we wspaniały pejzaż, który nagle stał się wrogi. Nie ma innego wyjścia, musieli gdzieś tu wylądować.

Ale gdzie? Cały teren pokryty był połyskującą taflą wody i gęsto rosnącymi drzewami. Sandrze przysłała nawet do głowy obłąkańcza myśl, że jeśli zdarzy się najgorsze, to wyskoczą ze śmigłowca i wdrapią się na konary, nim prehistoryczny potwór zdąży wciągnąć ich pod wodę.

Mimo rozpaczliwej sytuacji Daniel zachowywał zimną krew. Silnik tracił moc, prędkość lotu malała, a oni byli kilka kilometrów od brzegu wielkiego, porośniętego eukaliptusami rozlewiska. Wiedział, że Sandra zrozumiała, co im grozi, ale był tak skoncentrowany na pilotażu, że nie odważył się odwrócić do niej głową czy choćby się odezwać.

Siedemdziesiąt węzłów, sześćdziesiąt... W dodatku Alexandra Kingston siedziała obok niego w helikopterze. Dziewczyna, której ojciec zginął w katastrofie lotniczej.

Nie było ani chwili do stracenia. Nadał sygnał wzywają-

cy pomoc, podał swoje położenie. Co mogło spowodować tę awarię? Zerknął na tablicę sterowniczą, która całkiem sfiksowała. Jak to możliwe, skoro helikopter był regularnie poddawany przeglądom? Tylko on nim latał. No i Berne...

Spojrzał w dół. Wszędzie wielkie eukaliptusy otoczone rzędem pandanów.

Pięćdziesiąt węzłów.

O Boże! Dlaczego to musiało się tak skończyć? Takie krótkie życie! Nagle poczuł przypływ adrenaliny. Przecież był świetnym pilotem, do tego, szczególnie w krytycznych sytuacjach, zawsze dopisywało mu szczęście. Obok siedziała młoda kobieta, na którą czekało całe długie życie. Muszą się uratować. Wylądują, nawet jeśli zetnie śmigła. Czuł, że Sandra zamarła z przerażenia, ale na szczęście nie zaczęła krzyczeć. Byli o krok od katastrofy. Ktoś inny na jej miejscu wrzeszczałby jak opętany, a ona tylko rozpaczliwie wskazywała palcem na skrawek wolnej przestrzeni między drzewami, który pojawił się przed nimi.

Dmiał skierował w tę stronę helikopter. Pusta połać wyglądała jak boisko otoczone rzędem pandanów, a po przeciwległej stronie czterema eukaliptusami, których liście mieniły się w blasku słońca.

W tej chwili poczuł, że po prostu ją uwielbia. Była mądra i umiała opanować strach.

Teraz albo nigdy.

W tej wodzie na pewno były ogromne krokodyle. Poczuli dreszcz na plecach, starając się nie zawadzić o gałęzie. Jak zawsze w trudnych sytuacjach ogarnęła go dziwna mieszanina strachu i podniecenia.

Z wysokości dziesięciu metrów powierzchnia wody drżała, połyskując jak morze cekinów. Nagle silny strumień powietrza zmienił ją we wzburzone fale. Daniel pilnował, żeby płozy śmigłowca nie wryły się w korzenie drzew. Gdyby tak się stało, helikopter na pewno by przekoziłkował. Śmigła otarły się o drzewa ze złowrogim szelestem. Niewielka polana wydawała się oświetlona niezemskim blaskiem. Wolał to uznać za znak nadziei, a nie wiekuistą poświatę. Helikopter zawisł w powietrzu, Daniel maksymalnie się skoncentrował. Chęć życia była silniejsza niż strach. Teraz łopatki wirnika były na tej samej wysokości...

Dobrze. Tak trzymać. I zmówić pacierz!

W ostatniej chwili Sandra zamknęła oczy i zacisnęła dłonie w pięści. Śmierć czaiła się o krok. Lepiej tego nie widzieć. Jeśli ma zginąć, to zginie. Nikt nie wygra z losem. Wszystko zależy od tego, co zrobi pilot. Poczowała, że oblewa ją zimny pot. Jeśli spadną jak kamień, to helikopter rozbije się na kawałki i stanie w płomieniach. Wystarczy jeden fałszywy ruch.

Czekała w napięciu na moment uderzenia i eksplozję, ale łopatki śmigła wirowały i helikopter powolutku opuszczał się w dół. Maszyna nie zwała się, lecz osiadła lekko jak żuraw. Kiedy płozy zanurzyły się w wodzie, Sandra wstrzymała oddech, czekając, czy nie zapłaczą się w korzenie drzew, bo wtedy śmigłowiec przewróciłby się jak dziecięca zabawka. Strach sparaliżował jej ciało. Co za koszmar!

Nie mogła uwierzyć, gdy płozy wolno spoczęły na zalanym wodą gruncie.

Otworzyła oczy. Helikopter unosił się na powierzchni rozlewiska.

Hurra!

Nagle maszyna wydała z siebie niemal ludzki jęk. Daniel zgasił silnik i oba śmigła, główne i ogonowe, stopniowo przestawały się obracać.

Zapadła cisza.

Sandra wciąż nie mogła dojść do siebie. Dopiero gdy serce przestało jej bić ze strachu, odwróciła głowę do Daniela.

- Jesteś twardym facetem, Carson! - zawołała radośnie, choć jej twarz była biała jak papier.

- Udało się. - Poczował smak krwi na dolnej wardze.

Ze śmiechem przybili sobie piątkę.

- Mogliśmy się zabić.

Daniel spojrzął na tablicę sterowniczą.

- A ja chętnie zabiłbym tego, kto majstrował przy helikopterze.

- Co powiedziałeś? - spytała zachrypłym głosem.

- Nic, zupełnie nic. - Zdjął słuchawki i odpiął pas. - Zostań tu, a ja pójdę się rozejrzeć.

Na myśl o tym, że miałyby wyjść z helikoptera, zrobiło jej się gorąco.

- Chyba nie myślisz, że wskoczę do wody, w której na pewno są krokodyle?

- Tu nie jest tak głęboko - stwierdził spokojnie. - Woda już opada, ale i tak może nas zalać, nawet jeśli uda mi się usunąć awarię. Dobrze, że jesteśmy niedaleko Darwin. Pogotowie lotnicze zaraz przyśle po nas helikopter. Polecisz z nimi, a ja zostanę, by przypilnować śmigłowca.

- A kto go ukradnie? Krokodyl? - spytała z sarkazmem, nie mając ochoty rozstawać się z Danielem. - I nie mów, że nie czają się w trzcinach, bo ja wiem, że tak jest. Zapomniałeś, że urodziłam się w Terytorium Północnym?

- Ale na pustyni, kochanie. - Ze zdenerwowania nie zdrażał sobie sprawy, jak drwiąco to zabrzmiało. - Red Centre to nie jest Top End. W Terytorium Północnym są pustynie i tropiki. W Moondai nie ma nawet śladu po krokodylach.

- Bardzo mnie to cieszy! Ale czy powinieneś tu zostać? Może cię spotkać coś strasznego...

- Czy umiesz się obchodzić z bronią? - spytał z wahaniem.

- Czy umiem? - parsknęła. - Na pewno pamiętam wszystko, czego mnie nauczył tata. Tego się nie zapomina, tak jak jazdy konnej.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Chyba byłaś jeszcze bardzo mała?

- Ale chciałam się nauczyć - odparła cierpko. - Bernie umiał strzelać, więc musiałam się zabezpieczyć, w razie gdyby chciał zaplanować mały wypadek. Dziadek uważał, że strzelectwo kształtuje charakter. Co mam robić?

Zmarszczył brwi.

- Muszę obejrzeć cały helikopter. To cud, że główne śmigła o nie jest uszkodzone. Jesteśmy parę centymetrów od drzew. Musisz pilnować, czy nie pojawi się niespodziewany gość. Tylko mnie nie postrzel. Chcesz najpierw spróbować?

Odpięła pas i stanęła na chwiejnych nogach.

- Dobry pomysł. Gdzie jest strzelba?

Daniel wyciągnął i naładował broń, po czym podał ją Sandrze.

- Wiesz, co robić?
- Wolałabym karabin M16 - mruknęła, biorąc do ręki strzelbę. - Ale wiem, jak się z tym obchodzić. - Wycelowała przez okienko. - Mam mierzyć między oczy? Krokodyle mają chyba małe mózgi?
- Nigdy nie miałem okazji się o tym przekonać. Najważniejsze, żebyś nie chybiła, bo wtedy mnie dopadnie.
- A potem mnie. - Odgarnęła kosmyk włosów z czoła.
- Jestem gotowa.
- W takim razie idę.
- Wskoczył do wody, która jeszcze tydzień temu zakryłaby mu głowę.
- Kadłub jest nieuszkodzony - zawołał po chwili. - Sprawdzę teraz tylne śmigło. Patrz, czy nie ma zmarszczek na wodzie.
- Nie musisz mi tego mówić. Nie chcę skończyć w paszczy krokodyla. Wiem, że się tu czają.
- Tak? Ale to ja jestem w wodzie. - Poruszał się niemal bezgłośnie.
- Sandra wodziła za nim wzrokiem, przesuając się po pokładzie helikoptera.
- Płozy utkwily w roślinności i korzeniach - krzyknął.
- To niebezpieczne. Trzeba je oczyścić.
- Założę się, że są tam pijawki - powiedziała spokojnie, choć jej twarz była bardzo blada.
- Owszem. To paskudztwo oblażyło mi całe nogi.
- Ojej! To nie będziesz mógł nic zrobić?
- Mam nóż - oświadczył zdecydowanie. - Muszę wyciąć te rośliny. Cały czas obserwuj wodę.

Znów się zanurzył, po czym wyciągnął narecze zielska i sękatych korzeni, które odrzucił za siebie.

Poczuła nieprzyjemną woń błota i gnijących roślin.

- Pospiesz się - poprosiła, bo strzelba ciążyła jej coraz bardziej.

- Robię, co mogę - mruknął, znów znikając pod wodą.

Słońce paliło niemiłosiernie. Sandra miała wrażenie, że jej życie wisi na włosku.

Szybko, Daniel!

Właśnie jego mokre ciemne włosy pokryte błyszczącą zieloną mazią wynurzyły się z wody, gdy dziesięć metrów od niego dostrzegła linię zmarszczek na nieruchomej powierzchni rozlewiska. Potem nozdrza i dwie ciemne wypukłości dwadzieścia centymetrów od siebie.

Żółte błyszczące oczy!

Omam nie umarła z przerażenia. Krokodyl poruszał się z zadziwiającą prędkością jak na tak wielkiego i niezgrabnego potwora. Chciał dopaść śmiałka, który znalazł się na jego terytorium, a potem zrobić sobie ucztę.

Dreszcz przeszedł jej po plecach.

- Uciekaj z wody! - krzyknęła. - Krokodyl!

Szczupły i muskularny Daniel wyskoczył jak strzała i momentalnie znalazł się w kokpicie. Sandra mierzyła z broni, patrząc przez teleskop, w który była wyposażona strzelba. Wyczekiwała chwili, gdy mózg gada, znajdujący się między oczami, znajdzie się na celowniku. Lepiej nie myśleć o tym, co będzie, jeśli chybi!

Teraz!

Ogłuszający hałas przeciął nieruchomą skwarną ciszę.

- Zabiłam go! - Strużki potu spływały po jej twarzy. - A może tylko zraniłam? Powinnam mieć M16.

- Niestety nie jesteśmy w wojsku. - Daniel ociekał wodą, z butów wylewał się muł, do nóg przyssały się pijawki. - Na pewno go zabiłaś. Nie widziałaś, jak przewrócił się na brzuch?

- Ale jestem dobra! Mam nadzieję, że ten drań nie udaje. Może chce uspić naszą czujność, a potem wślizgnie się do kokpitu?

- Potrzebny ci jego ząb jako trofeum, Sandra? Na pewno go zabiłaś. Nie wiedziałem, że umiesz tak dobrze strzelać.

- Wyjął nóż i oparł się o drzwi, usuwając z nóg pijawki.

- Uch! - wzdrygnęła się z obrzydzenia, patrząc na brązowoczarne pasożyty. - Jak uczymy ten sukces?

- Mogę zanieść cię na brzeg.

- Nie, dziękuję. Co się stało z helikopterem?

- Jeszcze nie wiem.

- Mówiłeś, że ktoś przy nim majstrował. - Gdy bez słowa zabrał się do oczyszczania drugiej nogi z pijawek, dodała: - Możesz mi odpowiedzieć?

- Zagalopowałem się. Trzeba sprawdzić helikopter. Wypadki czasem się zdarzają.

- Wujek Lloyd i Bernie chętnie zobaczyliby mnie w trumnie.

I mnie przy okazji, pomyślał, ale wolał nie mówić tego głośno.

ROZDZIAŁ TRZECI

Sandra zbudziła się, czując w całym ciele ból. Cóż, nie przywykła do tego, by wciągano ją na helikopter. Przewróciła się na plecy, przysłaniając dłonią oczy. Pogotowie lotnicze zawiozło ją do hotelu w Darwin, a Daniel został przy zepsutym śmigłowcu. Powinna wstać i się ogarnąć.

Był już wieczór. Miasto pulsowało życiem, ale w przytulnym pokoju hotelowym słyszeć było tylko szmer klimatyzacji. Delikatnie oświetlony apartament był ładnieumeblowany. Na podłodze leżały grube dywany, a za łóżkiem wisiał piękny obraz przedstawiający lilie wodne. Oparła bose stopy na podłodze, posiedziała przez chwilę, po czym wyjrzała przez okno. Miasto było jasno oświetlone. Po głównej ulicy przejechał duży żółty autobus, krążyły taksówki, jakaś para wchodziła do hotelu.

Gdzie jest Daniel? Był jej jedynym sprzymierzeńcem. Oczywiście niebezpieczna przygoda zbliżyła ich do siebie, ale polubiła go już wcześniej. Na pewno uważał ją za delikatną panienkę, którą trzeba się opiekować. Jej wzrost - metr pięćdziesiąt sześć - z pewnością go do tego skłaniał. W rzeczywistości umiała o siebie walczyć. Cóż, matka wprawdzie bardzo ją kochała, ale nie potrafiła wywiązywać

się ze swojej roli, a już na pewno nie była dla niej oparciem. Pam najpierw straciła męża, a potem wyrzucono ją z Moondai, co fatalnie się na niej odbiło. Jakby nigdy nie wyzwoliła się z tej traumy.

Znów przypomniała sobie tamtą scenę. Matka leżała na łóżku, zasłaniała dłonią twarz i zanosiła się płaczem. Przeżona Sandra trzymała rękę na jej ramieniu. Nie rozumiała, dlaczego nagle zawalił im się świat.

- Kochałam twojego ojca, Sandy. Wciąż bylibyśmy z sobą, gdyby wyjechał ze mną z Moondai. To ranczo go zabiło. Ranczo i wujek Lloyd.

- Wujek powiedział, że tatuś nie jest moim prawdziwym ojcem. Czy to prawda?

- Oczywiście, że nie. Twój wujek powiedziałby wszystko, żeby mnie skompromitować.

- To dlaczego dziadek nas wyrzucił? Jak mógł to zrobić, skoro jestem jego wnuczką?

- Był tak zaślepiony bólem, że zaczął wierzyć w to, co mówi wujek. Ale ty nigdy nie powinnaś mieć wątpliwości. Przysięgam, że naprawdę jesteś jego wnuczką.

Pam powtarzała jej to wiele razy, mimo to Sandra wciąż myślała o tej sprawie. Jednak życie toczyło się swoim rytmem. Matka jeszcze dwukrotnie wychodziła za męża, natomiast Sandra najszybciej, jak to było możliwe, wyrwała się z domu. Nigdy nie powiedziała Pam, jakim zbrodnicem jest jej trzeci mąż. Matka odnalazła szczęście u boku mężczyzny, który narzucał wszystkim swoją wolę, a potem urodziła syna, którego z Jemem ubóstwiali. Sandra także go

kochała. Rozpieszczony Michael, mimo złej opieki rodzicielskiej, był uroczym dzieckiem. A teraz Sandra stała się bogatą spadkobierczynią, która może robić to, co chce. To znaczy jeśli uda jej się przeżyć najbliższych sześć miesięcy. W sierpniu ukończy dwadzieścia jeden lat i zgodnie z testamentem odziedziczy ranczo. Matka uważała, że Rigby Kingston chciał w ten sposób odkupić swoje grzechy.

Tylko jak mógłby odkupić swoje grzechy ktoś, kto nie miał duszy?

Kwadrans później wykapana i ładnie ubrana zeszła do holu. Zrobiła staranny makijaż i wyperfumowała się, żeby zrobić wrażenie na Danielu. Niech wie, że ma do czynienia z kobietą, a nie nieopierzoną nastolatką, którą wziął pod swoje skrzydła. To było wyzwanie, a ona lubiła wyzwania. I lubiła też Daniela. Uratował jej życie, więc jak mogła go nie lubić?

Gdzie on jest? Powinien już przyjechać, niezależnie od tego, czy udało im się uruchomić helikopter, czy też nie. Grupa snajperów na pewno nie zjawi się na nocne czuwanie nad rozlewiskiem, w którym roiło się od krokodyli. Mechanik z ekipy ratowniczej spuścił się na linie z helikoptera, żeby pomóc Danielowi. Może uda im się naprawić silnik.

Zerknęła na zegarek. Już po siódmej. Była głodna, bo przez cały dzień zjadła tylko kilka kanapek, które kupił Daniel, i wypija kubek kawy. Teraz zaczynała się o niego martwić. Nie chciała sama jeść kolacji.

Kiedy zadzwonił telefon, szybko go odebrała.

- Sandra?
 - Daniel! Gdzie jesteś?! - zawołała, próbując opanować wzburzenie. Powinna zachowywać się z umiarem, jak dorosła.
 - Wszystko w porządku. Jestem w holu, jak przystało na twego obrońcę.
 - To dobrze. Czy wyciągnęliście helikopter?
 - W końcu się udało. Trzeba zrobić dokładny przegląd.
 - Ale co to było?! - W lustrze dostrzegła swoją twarz z rozjaśnionymi oczami i zaróżowionymi policzkami, jak-by prowadzili przyjemną pogawędkę.
 - Nic byś z tego nie zrozumiała.
 - Powiedz tylko, czy powinniśmy zawiadomić policję.
 - Absolutnie nie.
- Miał taki seksowny głos. To było jak pieszczota...
- Nie rozmawiajmy już przez telefon. Jestem głodna.
 - Ach tak, pamiętam, jaki masz apetyt. Poczekasz dziesięć minut?
- Czy poczeka na niego? Też pytanie!

Daniel był zdumiony. Sandra była pełna niespodzianek. Nastolatka bez śladu makijażu zmieniła się w seksowną złotowłosą kobietę. Szykowna błękitna sukienka podkreślała fiołkowe oczy. Nawet włosy wyglądały na dłuższe i bujniejsze. Przez chwilę nie mógł oderwać od niej wzroku. Nie spodziewał się takiej zmiany. Nawet drobny biust prezentował się okazale. Daniel, tak zawsze opanowany, nie umiał ukryć zdumienia.

- Dobry wieczór - powiedział z uśmiechem.

- Dlaczego tak patrzysz? Nie podoba ci się mój wygląd?
- spytała słodko, zadowolona z wrażenia, jakie na nim wywarła.

- Ależ nie. - Wzruszył ramionami. - Tylko trochę się zmieniłaś.

- A ty wcale - odparła złośliwie.

Daniel drgnął.

- Nie chcesz się pokazywać w moim towarzystwie?

- Żartowałam - odparła łagodnie.

Spojrzał krytycznie na swój strój.

- Nie udało mi się kupić garnituru.

Zlustrowała go wzrokiem jak szef zatrudniający nowego szofera. Czy Daniel mógłby źle w czymś wyglądać? Zresztą miał na sobie nową koszulę w delikatne beżowo-niebieskie prążki i nowe dżinsy.

- A te dziwne buty? Jesteś w nich jeszcze wyższy ode mnie.

- Miałem kupić mokasyny? I tak wydałem bardzo dużo, bo całe ubranie zniszczyło się w wodzie.

- Nie przejmuj się - odparła wyniośle. - Otrzymasz zwrot kosztów.

- Dziękuję, panno Kingston - odparł z ukłonem.

- Nie musisz zachowywać się bezczelnie.

- Nie wiedziałem, że to może tak wyglądać. Myślałem, że zachowuję się odpowiednio do mojej pozycji.

- Ani drwić - dodała, rozglądając się za swoją torebką. Zerknęła na niego przez ramię. - Gdzie idziemy?

- Do jakiejś taniej knajpki.

- Ja płacę.

- To co innego. - Gdy się uśmiechnął, na lewym policzku ukazał się dołeczek. - Ale zarezerwowałem już stolik u Wietnamczyków. Znam właścicieli, a jedzenie jest wspaniałe.

- Nie będzie hałasu?

- Na pewno nie ogłuchniesz. - Przyjrzał się jej uważnie.

- O co chodzi? Boli cię głowa?

- Jestem zdenerwowana, jeśli musisz wiedzieć.

- Przysięgam, że będę cię bronić z narażeniem życia - oświadczył z uśmiechem... i uświadomił sobie, że powiedział szczerą prawdę.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Obiecujesz?

- Włos ci z głowy nie spadnie - odparł z głębi serca, czując dziwne emocje.

- Mój bohater!

Ku jego zdumieniu wspięła się na palce i pocałowała go w czubek brody.

Jedzenie było tak dobre, jak obiecywał. W niewielkiej restauracji panował tłok, ale właściciele przywitali ich z radością.

- Jak ty to robisz, że wszyscy cię lubią? - spytała Sandra, biorąc do ust krewetkę w pysznym ostrym sosie.

- Jestem miły, jednak nie wszyscy za mną przepadają. Mój chłopięcy urok nie działa na wujka Lloyda. Z Berneem też często się kłócimy.

- O co?

Wzruszył ramionami.

- Jego wszystko denerwuje.

- W takim razie nic się nie zmienił - odparła sucho.
- Nie znam go od dziecka.
- Był jak trujący cierni w tyłku. - Rozejrzała się, czy inni goście jej nie usłyszeli. - Przepraszam za ten język.
- Nie przebierasz w słowach. - Skrzywił się.
- Przecież przeprosiłam. Powiedz, czy odkryłeś coś podejrzanego.
 - Nie. - Wzruszył ramionami. - Jeśli chcesz wiedzieć, to było tak. - Zaczął szczegółowo wyjaśniać wstępne wyniki przeglądu technicznego.
 - Przepraszam, ale nie znam się na mechanice - szybko mu przerwała. - Przede wszystkim chcę wiedzieć, czy wynajmiesz drugi helikopter, żeby wrócić do Moondai, i czy zabierzesz mnie z sobą?
 - Nie widzę innego wyjścia, chyba że pójdziemy na piechotę. - Nadział ostrygę na widelec.
 - Czy mam ci przypomnieć, że odziedziczyłam ranczo?
 - Nie, proszę pani.
 - Może przestaniesz tak się do mnie zwracać? - powiedziała ze złością.
 - Myślałem, że skoro jesteś moją szefową, to powinienem tak się do ciebie zwracać. Nie chciałaś, żeby nazywać cię panną Kingston.
 - A jeśli wujek Lloyd miał rację i nie pochodzę z Kingstonów? - Zła jak osa znów zabrała się do jedzenia.
 - Na pewno tak, bo jesteś podobna do swojego dziadka. Bardzo.
- W jej fiołkowych oczach zapaliły się ogniki.
- Czy nadal chcesz mieć tę pracę, Daniel?

- Na razie nie mam nic lepszego na oku - odparł z niezmaconym spokojem.

Przez chwilę nie odzywali się do siebie, wreszcie Sandra poprosiła:

- Opowiedz mi coś o sobie.

- Naprawdę cię to interesuje?

- Inaczej bym cię o to nie prosiła. Po dzisiejszej przygodzie chyba powinniśmy zostać przyjaciółmi. - Wzięła z jego talerza ostrygę.

- Nie chcę zepsuć ci humoru.

- Było aż tak źle?

- Strasznie, ale ty też nie miałaś łatwego dzieciństwa, prawda?

- Wszystko było dobrze, dopóki nie straciłam taty. Pamiętam, jak zawsze wołał mnie z werandy, zanim jeszcze wszedł do domu. Nie mamę, tylko mnie. Czasem myślę, że moi rodzice powinni przed ślubem pójść do psychologa.

- Tak... Kolejny dowód na to, jak trudno kogoś poznać. Dlatego jestem tak ostrożny w kontaktach z kobietami.

- Coś podobnego!

- O co ci chodzi?

- Przypuszczam, że niejedna kobieta ma na ciebie chrapkę.

- Za takie wyrażenia powinnaś dostać lanie, Sandro.

- Och, proszę. - Skrzywiła się, pokręciła głową. - Nie traktuj mnie jak dziecko.

- Nie miałem zamiaru. - Prawdę mówiąc, nie wiedział, jak ma ją traktować. Łatwiej było, gdy wyglądała jak nie-

opierzona nastolatka. Ale teraz? Jej widok zapierał mu dech w piersi.

- To dobrze. Wkrótce skończę dwadzieścia jeden lat. I nie jestem święta.

- Ciekawe, dlaczego odniosłem wrażenie, że jesteś dziewczyną - rzucił z przekąsem.

Doświadczona kobieta, za jaką chciała uchodzić, zaczerwieniła się po uszy.

- Nie będziemy o tym dyskutować, Danielu Carsonie. - Zmarszczyła zgrabny nosek, spoglądając dumnie. - Zresztą co ty możesz wiedzieć? Kiedy miałam długie włosy i ważyłam sześć kilo więcej, miałam duże powodzenie.

Roześmiał się na cały głos.

- Teraz też na twój widok włącza się syrena alarmowa. - Zauważył spojrzenia, jakimi obrzucają ją mężczyźni. Szczególnie jeden z nich przyglądał jej się nad wyraz natrętnie. - Bierz się do roboty, żeby odzyskać te sześć kilo. Chcesz jeszcze zerknąć do menu?

- Coś ci się nie podoba? - spytała ostro.

- Ale skąd. - Uniósł czarne brwi. - Bardzo lubię, jak dziewczyna ma apetyt.

Wzruszyła ramionami.

- Może kolacja z tobą to nie był dobry pomysł. Przez cały dzień nie miałam nic w ustach oprócz tych kanapek na lotnisku. Poza tym stać mnie na dobrej restauracji. Zapomniałeś, że odziedziczyłam ranczo? Choć wcale tego nie chcę.

- Myślę, że zmienisz zdanie. Moondai to cudowne miejsce.

- Aż ci oczy rozbłyły. Chyba nie chcesz ożenić się ze

mna, co? - Przechyliła głowę w bok. - To byłoby bardzo trudne. Wiem, że mężczyźni lecą na pieniądze.

- Nie zdziwiłbym się, gdybyś miała setki zalotników - odparł, patrząc, jak kelner zbliża się z do nich z głównym daniem.

- Och, jak wspaniale pachnie ta ryba zapiekana z chili! - zawołała Sandra. - A co zjemy na deser?

- Polecam pyszny pudding z syropem kokosowym gula melaka. Ja wezmę krem imbirowy.

- Ty chyba dużo jesz - powiedziała, patrząc z podziwem na jego potężną sylwetkę.

- Mama codziennie się martwiła, czy uda jej się mnie nakarmić.

- Och... - Jego czuły, pełen wzruszenia głos sprawił, że ścisnęło jej się serce.

- Hej, co ci jest, Sandra? - spytał przestraszony, gdy spod jej przymkniętych gęstych rzęs spłynęła łza.

Otworzyła oczy i zakaszła.

- Zadławiłam się - skłamała.

- Musisz napić się wody. - Napełnił jej szklanke.

- Dziękuję. - Wypiła łyk i uśmiechnęła się, patrząc na półmisek. - Jak bajecznie to wygląda!

Daniel zasypiał po dniu pełnym wrażeń, gdy z objęć Morfeusza wyrwał go natarczywy dzwonek telefonu. Było w pół do trzeciej nad ranem.

- Daniel? Przyjdź tu szybko! - syknął znajomy głos.

W jednej chwili poderwał się z łóżka.

- Sandra?

- A kto? Do moich drzwi dobija się jakiś facet. Powtarza w kółko: „Otwórz, blondyneczko!”

- O cholera! - Był wściekły. Dlaczego atrakcyjne kobiety muszą być wciąż narażone na takie chamstwo, a jakże często na brutalność?

Pokój Sandry był na tym samym piętrze. Daniel ubrał się błyskawicznie i wybiegł na korytarz. Mocno zbudowany facet zmierzał w stronę windy. Natychmiast rozpoznał typa, który natarczywie przyglądał się Sandrze w restauracji.

- Hej! - zawołał, przyspieszając kroku. - Zatrzymaj się!

- Do mnie mówisz? - Mężczyzna odwrócił się i spojrzał na niego wyzywająco.

- A czy ktoś inny łązi tu po nocy? - Daniel stanął z nim twarzą w twarz. - Mieszkasz tutaj?

- A niby gdzie, na Księżycu?!

- Nazwisko i numer pokoju.

- Jesteś z ochrony czy co? - Wyglądał jak rozjuszony byk.

- Zadzwoiła do mnie mieszkanka hotelu, skarżąc się, że jakiś intruz dobija się do jej drzwi. Czy to byłeś ty?

- Słuchaj, zabłądziłem. Wypiłem za dużo i pomyliłem piętra. Zdarza się, no nie?

- Numer pokoju i nazwisko. - Daniel zrobił krok naprzód i mężczyzna musiał się cofnąć.

- Trzysta czternaście. Rick Bryce.

- Rick, dodaj dwa do dwóch. Ta pani może zeznać pod przysięgą, że chciałeś wedrzeć się do jej pokoju w oczywistych zamiarach, a ja potwierdzę, że cię tutaj zastałem. No i co ci wyszło?

- A niech to... - Bryce wytrzeźwiał w jednej chwili. - Słuchaj, nie chcę żadnych kłopotów. Mam narzeczoną... no i tego...

- Właśnie, no i tego. A teraz odprowadzę cię do twojego pokoju, a ty będziesz grzeczny jak przedszkolaczek...

Chwilę później Daniel zapukał do Sandry, wołając ją po imieniu. Uchyliła drzwi i wyrzała przez szparę.

- Wejdz. - Miała na sobie kusą sukienkę, ale pewnie tak wyglądały najmodniejsze koszule nocne. Była zdenerwowana, ale z pewnością nie przerażona. - Wyrzałam na korytarz i widziałam, jak przycisnąłeś go do ściany. Myślałam, że spuścisz mu łomot.

- Możesz być pewna, że już nie będzie cię nachodzić.

- Czy on mieszka w hotelu?

- Kilka pięter niżej. Nazywa się Rick Bryce. Powiedział, że za dużo wypił i pomylił piętra.

- Kretyn! Żałosna pijaczyna, na amory mu się zebrało... - Jej oczy pociemniały od gniewu. - Dlaczego wciąż to musi mnie spotykać?

- To znaczy?

Zaczęła szybkim krokiem chodzić po pokoju.

- Różni popaprańcy próbują wyłamać moje drzwi. - Rozrzuciła ramiona. - Nachalnie zaczepiają, jakby nie znali słowa „nie”. - Spojrzała na niego ze złością. - Och, prze stań mnie wypytywać!

- Uspokój się, Sandro - powiedział łagodnie. - Obiecuję, że nie musisz się o nic martwić.

- Bałam się, że tu wejdzie. Wiem, że to niemożliwe, ale

się bałam. - Wściekłością odpędzała strach. - Do diabła, nie zgadzam się! Nie pozwalam!

- Powinnaś od razu zadzwonić do recepcji. - Przyjrzał się jej uważnie i nagle wszystko, co powiedziała mu wcześniej, zaczęło układać się w całość.

- Przecież zadzwoniłam do ciebie! Wiedziałam, że za chwilę tu będziesz. Ufam ci, Daniel. Nikomu więcej.

- Wiem, że to było okropne. - Przejechał dłonią po zmierzwionych włosach. - Położysz się już spać? Jutro czeka nas ciężki dzień.

- Tak. - Nagle zrobiło jej się wstyd, że wpadła w histerię.
- Dziękuję ci, Daniel. Przepraszam, że cię zbudziłam.

- Nie przepraszaj. Dobrze zrobiłaś. Na pewno nic ci nie jest? - Była bardzo blada i wzburzona.

- Przestraszyłam się... A co, nigdy się nie bałeś? - spytała napastliwie.

- O co naprawdę chodzi? - spytał cicho. - O twego zbrojonego ojczyma?

Rumieńce wystąpiły na jej policzki.

- Nie bądź głupi, Daniel. Dawno już o tym zapomniałam.
- Odwróciła się i w świetle zapalanej lampki nocnej mignął kuszący zarys jej ciała pod cieniutką koszulką nocną. Ten widok poruszył go, ale zaraz zganił się w duchu. Był przecież jej rycerzem w lśniącej zbroi, prawda? - Nie, nie zapomniałam... Nienawidzę go! - krzyknęła z porażającą furją.

Daniela przeszedł dreszcz.

- Twój ojczym był żalonym draniem. Już mówiłem, że chciałbym kiedyś go dopaść. A co na to... co na to twoja matka?

- Nie mieszaj jej do tego, dobrze? A co mogła zrobić?

- Już dobrze. - Osunął się na fotel. - Chcesz, żebym czekał, aż zaśniesz?

Spojrzała na niego tak, jakby miała na to wielką ochotę, ale była przecież dorosła i samodzielna.

- To byłoby śmieszne, nie uważasz? - spytała niepewnie.

- Wcale nie. - Założył ręce za głowę. - Tak naprawdę nie jesteś jeszcze pełnoletnia, bo nie masz dwudziestu jeden lat. Wskakuj do łóżka, a ja będę przy tobie, dopóki nie zaśniesz.

- Czy możemy chwilę porozmawiać? - Wślizgnęła się pod kołdrę.

- Nie - odparł stanowczo. - Jutro będzie dużo czasu na rozmowy. Śpij.

- Czy możesz mi coś powiedzieć?

- Zależy co.

- Nie chciałbyś mieć młodszej siostry?

- Miałem tylko mamę.

- Byłbyś wspaniałym bratem.

- Dobranoc, Sandro.

- Już dobrze, dobrze - burknęła. - Tak bardzo się cieszę, że jesteś ze mną. Przejmujesz się pracą, prawda?

- Owszem. - Poprawił się w fotelu i zaczął udawać, że chrapie.

- W porządku, zrozumiałam. - Zachichotała, przytuliła twarz do poduszki i zamknęła oczy.

- Nic się nie martw. Jestem tutaj - powiedział, także przymykając oczy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Danielowi udało się załatwić miejsca w dziewięciosobowym samolocie czarterowym do Alice Springs. Helikopter musieli zostawić w Darwin na dokładny przegląd. Sandra dowiedziała się tylko tyle, że awaria nastąpiła z powodu obluźowania się jakichś części w śmigle ogonowym.

Było już prawie południe, gdy cessna wylądowała na ranchu Moondai. Potem poleciała do miasta będącego symbolem centrum kontynentu. Sandra pamiętała jeszcze rodzinne wyprawy na zabawy karnawałowe organizowane w Alice Springs, piesszczodiwie zwanym Alice, a także coroczne regaty Henley-on-Todd, w których zawodnicy ścigali się, biegnąc w łodziach bez dna po wyschniętym korycie rzeki. Zarówno mieszkańcy miasta, jak i turyści uwielbiali te szaleństwa. Poza tym w Alice Springs co roku organizowano rodeo z bardzo wysoką główną nagrodą, w którym często brał udział jej ojciec. Ale jako dziecko najbardziej lubiła Camel Cup Carnival w suchym korycie rzeki Todd. Wspomnienia z lat dzieciennych stanowiły jednak niewielką pociechę. Sandra bardzo bała się ponownego spotkania ze skłóconą rodziną. Miała wątpliwości, czy dziadek postąpił sprawiedliwie, czyniąc ją główną spadkobierczynią.

Rozejrzała się po sprawiającej majestatyczne wrażenie okolicy. Te rozległe tereny należały teraz do niej. Ognisty kolor ziemi cudownie kontrastował z bezchmurnym ciemnym błękitem nieba.

- I co? Nie ma komitetu powitalnego? - zażartowała.

- Niestety nie. - Daniel włożył jej walizkę do dzipa. - Jesteś rozczarowana?

- Nie. - Spochmurniała. - Oboje wiemy, że mnie nie-nawidzą.

- To przekonaj ich do siebie.

- Nie żartuj!

- Wcale nie żartuję. Daj im szansę.

- Dobrze. - Wyszczrzyła zęby w uśmiechu. - Będą mi jedli z ręki.

- Tak jak ja - odparł sucho.

Och! Poczwała miły dreszcz na plecach.

- Nie domyślasz się, dlaczego dziadek tak mnie obdarował?

- Może to zadośćuczynienie?

- Możliwe. - Przegarnęła palcami krótkie włosy. - Jak oni się zachowają? Będą próbowali mnie zabić swoją niechęcią, czy też posuną się do konkretnych czynów? Wykończą mnie, a także przy okazji ciebie? Ciekawe, co wykaże przegląd helikoptera. W rzece pełnej krokodyli stanowilibyśmy niezły kąsek. Ja to zaledwie przystawka, ale ty byłbyś przyzwoitym drugim daniem.

- Tylko że do tego nie doszło. Mogę się założyć, że przegląd nic nie wykaże. Helikopter doleciał bez przeszkód do Darwin. Zresztą nie ma co martwić się na zapas. Nie powinnaś się niczego bać.

- Łatwo powiedzieć.
- Jesteś odważna. Udowodniłaś to nad rzeką.
- A wczoraj w nocy? - Zmarszczyła brwi.
- Wiem, jaki uraz wyniosłaś z dzieciństwa przez tego drania ojczyma, ale każda kobieta by się zdenerwowała, gdyby w nocy do jej drzwi dobijał się jakiś pijany kretyn.
- Myślisz, że może napastować kogoś jeszcze?
- Daniel otworzył przed nią drzwiczki samochodu.
- Zawiadomiłem obsługę hotelową. Zapewnili, że Brycebwi nie ujdzie to płazem.
- Nazywał mnie blondynedzką!- parsknęła, wsiadając do samochodu.
- Nie myśl o tym. To już przeszłość! - Usiadł za kierownicą i włączył silnik.
- Bądź przy mnie, Daniel...

Droga do domu ciągnęła się w nieskończoność. Sandra zdażyła już zapomnieć, jak olbrzymie przestrzenie dziela poszczególne rancza. Mijali zabudowania pomalowane na nieskazitelnie biały kolor. Bungalowy zamieszkałe przez rodziny i baraki dla samotnych mężczyzn, otoczone kolorowymi ogrodami, wyglądały malowniczo jak na filmie.

- Ktoś jest tu dobrym zarządcą - powiedziała z aprobatą.
- Dziękuję pani. Miło mi to słyszeć.
- Wołałabym, żebyś nie mówił do mnie pani.
- Spojrzał na nią ironicznie.
- Nie przejmuj się tak bardzo. Mogę zwracać się do ciebie po imieniu, gdy jesteśmy sami, ale przy rodzinie czy pracownikach wolę nazywać cię panią albo panną Kings-

ton. Tak wypada, Sandro. Nie wyobrażam sobie, żebym mówił do twojego dziadka Rigby. Zawsze był dla mnie panem Kingstonem.

- Ale on skończył siedemdziesiątkę!

- Więc zanim dociągniesz do tego wieku, będę cię zwał panną Kingston.

- A ja mam mówić do ciebie panie Carson? Daniel brzmi zbyt poufale?

- Dziadek mówił do mnie Dan. Powiem ci coś, co wiedziałabyś, gdybyś zapoznała się z treścią testamentu. Oczywiście pobieram pensję, ale niezależnie od tego twój dziadek zapisał mi dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów, pod warunkiem, że zostanę jeszcze rok na ranczu.

- Co? Nie było innego sposobu, żeby cię tu zatrzymać?

- Nie sądzisz, że mogłem na to zapracować? - obruszył się.

- Och, nie wątpię... Po prostu jestem zaskoczona. Co się stało? Czyżby dziadek na łożu śmierci odzyskał ludzkie uczucia? A może chodziło mu o to, byś mi pomógł utrzymać ranczo na tym samym poziomie?

- Twój dziadek lubił mnie i cenił, natomiast Lloyd i Berne niechętnie przyjęli ten zapis do wiadomości. Berne był wręcz wściekły.

- A co go to obchodzi? - rzuciła szorstko. - I tak dostali za dużo. Mogą mieszkać na ranczu, jak długo zechcą.

- To nie będzie sielanka.

- No pewnie!

Jechali aleją wysadzaną potężnymi starymi palmami daktylowymi. Za dwuipółmetrowym murem pokrytym

jaskrawopomarańczowymi kwiatami bugenwilli stał dom, z którego wyrzucono Sandrę i jej matkę. Wielka żelazna brama prowadząca do ogrodu była szeroko otwarta.

W oślepiającym słońcu powiew wiatru strącał kolorowe kwiaty na ziemię. Eukaliptusy, akacje i kazuaryny szumiały, a krzewy jaśminu wypełniały zapachem powietrze. Sandra niemal wykrzyknęła:

- Dan, czy to możliwe, że to wszystko należy do mnie?
- Masz szczęście - odparł, unosząc brwi.

Widział, jak jej początkowy lęk zamienił się w entuzjazm. Ciekawe tylko, czy zostanie tu na zawsze, czy też pomieszka trochę na ranczu, a potem je sprzeda? Wiedział, że gdyby urodził się w tak wspaniałym miejscu, zrobiłby wszystko, żeby zatrzymać je dla swoich spadkobierców. Ale los czasem płata figle. Rigby Kingston był wielkim hodowcą bydła. Niestety stracił w wypadku syna, który mógłby przejąć po nim interes, a drugi syn i wnuk kompletnie się do tego nie nadawali. Hodowla bydła z oczywistych względów jest domeną mężczyzn. To za ciężka praca dla samotnej kobiety. Czy Rigby Kingston miał jakiś ukryty plan?

- A co wujek Lloyd i Bernie robią przez cały dzień? - spytała z zaciekawieniem. - Chyba nie siedzą bez przerwy w domu?

- Twój wujek bardzo interesuje się botaniką.
- Nadal?

- Ma w małym palcu całą encyklopedię. Natomiast Berne płacze się po ranczu.

- To pewnie nie jest dla ciebie łatwe, skoro się nie przyjaźnicie.

- Po prostu nie wchodzimy sobie w drogę. Twój wujek czasem zajmuje się interesami, natomiast biuro prowadzi księgowy Andy Fallon. Pamiętasz go?

- Musiał tu przybyć po naszym wyjeździe. A Elsa? Mama zawsze nazywała drugą żonę dziadka Duchem!

- Faktycznie jest cicha. - Daniel nie mógł zrozumieć, dlaczego Rigby ożenił się z tą zahukaną kobietą, która nastąpiła po wspaniałej, niestety zmarłej na raka Catherine. - Lloyd i Berne ignorują ją, co jest bardzo przykre. Meg wciąż zajmuje się domem. Pamiętasz ją?

- Oczywiście. Bardzo płakała, gdy wyjeżdżaliśmy stąd z mamą. Była bardzo dobra i opiekowała się mną, gdy mama wyjeżdżała na wycieczki.

Ładne wycieczki! - pomyślał z sarkazmem. Tyle słyszał o Pameli, że zaczął już wierzyć we wszystkie plotki.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział, zerkając na Sandrę. Mimo upału wyglądała bardzo świeżo. Była ubrana w żółtą bluzeczkę pod kolor włosów i džinsy do pół łydek. Mimo zadartej brody i pewnego siebie wyrazu twarzy widział, że jest bardzo zdenerwowana.

Sandra stała na wybrukowanym podejździe i spoglądała na dom, który tak często wracał w jej wspomnieniach. Była teraz jego właścicielką i właśnie miała się przywitać z antypatyczną rodziną. To dziwne, ale nigdy nie uważała Elsy za rodzinę. Druga żona dziadka zawsze trzymała się na uboczu. Pamela miała rację, że babka zachowuje się jak gość, a nie jak pani Moondai. Trudno uwierzyć, że kiedyś wraz z pierwszym mężem, zdeklarowanym kobieciarzem, kierowała firmą czarterową. Pamela zawsze mówiła,

że po rozwodzie z tym łajdakiem Elsa nigdy już nie doszła do siebie.

- Co teraz? - spytał Daniel.

- Idziemy na górę. Musisz być przy mnie, kiedy wejdem do jaskini lwa.

Zbudowany z pięknego złotego piaskowca dom na obu poziomach miał arkady. Na piętrze znajdowała się pomalowana na biało balustrada z kutego żelaza. Wysokie, smukłe drzwi balkonowe przecinały imponującą fasadę. Żaluzje były tak jak kiedyś pomalowane na delikatny żółto-brunatny kolor podkreślający barwę piaskowca. Wysokie, pięknie rzeźbione dwuskrzydłowe drzwi wejściowe były zaopatrzone w miedziane okucia lśniące od nieustannego polerowania.

Kiedy Sandra zajrzała do chłodnego wnętrza, w holu pojawiła się wysoka, chuda postać w szerokiej spódnicy.

- To Elsa - wyjaśnił Daniel, żeby rozwiać ewentualne wątpliwości. Elsa Kingston z roku na rok wyglądała coraz gorzej.

- Ojej! - westchnęła Sandra. Pamiętała Elbę jako przystojną blondynkę o bladej cerze i germańskich rysach twarzy. Żona Rigbyego nie tylko się postarzała, ale i bardzo schudła.

Elsa zbliżyła się, rozpościerając ramiona.

- Alexandra! Witaj w domu, moja droga! - Uściskała Sandrę i ucałowała ją w oba policzki.

Co się stało? Pamiętała, że w dzieciństwie babka co najwyżej klepała ją po głowie.

- Pozwól, że ci się przyjrę. - Elsa cofnęła się nieco, spo-

glądając wyblakłymi niebieskimi oczami na Sandrę. Pałace słońce sprawiło, że jej niegdyś piękna cera zmieniła się w labirynt zmarszczek. Długie gęste złote włosy, jej największy skarb, miały żółtawoszary odcień i były związane w gruby węzeł z kilkoma kosmykami opadającymi na policzki. Elsa nie miała ani odrobiny makijażu, a jej ubranie wyglądało jak kupione na straganie. Sandrze zrobiło się przykro. Babka robiła wrażenie, że uszło z niej całkiem życie. - Jesteś bardzo podobna do matki, tylko taka szczupła! Ale nie widzę w tobie ani śladu podobieństwa do twego biednego ojca.

- Jednak jego krew krąży w moich żyłach - odparła Sandra, starając się zachować spokój. - Daniel przez jakiś czas będzie u nas mieszkał, Elso. Chcę mieć go przy sobie, bo muszę się nauczyć zarządzać ranczem.

- Jak sobie życzysz, moja droga. W tym domu nie brakuje miejsca. Może w zachodnim skrzydle?

- Zastanowię się - odparła z uśmiechem Sandra. Zachodnie skrzydło było najbardziej oddalone od głównych sypialni. - A gdzie jest reszta rodziny? - spytała z nieukrywanym sarkazmem.

- Czekają na ciebie w bibliotece. Przepraszam, że od razu nie spytałam, jak się czujesz po wypadku. Lloyd powiedział nam o awarii helikoptera. Latanie jest bardzo niebezpieczne!

- Jakoś przeżyliśmy - odparła sucho Sandra.

- Dzięki Bogu. Naprawdę chcesz tu mieszkać? - zwróciła się niepewnie do Daniela.

- Jestem tu po to, by spełniać polecenia panny Kingston - odparł uprzejmie. - Pan Kingston obarczył mnie takim obowiązkiem.

- Nie bałeś się go, prawda, Dan?
 - Nie miałem ku temu powodów, pani Kingston.
Elsa zapatrzyła się w przestrzeń.
 - To był bardzo twardy człowiek pozbawiony wszelkich uczuć.
 - Przeżył straszną tragedię - powiedział cicho Daniel.
 - Gdzie jest Meg? - spytała Sandra, przerywając niemiłą ciszę.
 - Ma jeszcze coś do zrobienia, Alexandro - odparła Elsa.
 - Wkrótce się z nią zobaczysz.
 - To dobrze. Nie mogę się doczekać. Zjesz z nami lunch, prawda, Daniel?
 - Wystarczy mi kanapka. Mam dużo pracy, podobnie jak Meg.
 - Może przejdziemy do biblioteki - zaproponowała Elsa.
 - Prawdę mówiąc, Wołałabym najpierw się odświeżyć. - Sandra spojrzała na wypełnioną obrazami galerię na piętrze. - Który pokój wybrałaś dla mnie?
- Elsa wbiła wzrok w marmurową czarno-białą posadzkę i szepnęła.
- Twój dawny pokój... ale może wolisz inny. Meg powiedziała, że powinnaś sama wybrać. Nie wiedziałam...
 - Dziękuję. Najpierw się rozejrzę. - Skoro rodzina kazała jej czekać, to teraz oni mogą poczekać na nią. - Wnieś moje bagaże, Daniel - powiedziała, udając wielkopański ton.
 - Tak, proszę pani. - W jego oczach zapaliły się złośliwe iskierki, ale Elsa ze wzrokiem wbitym w podłogę nawet tego nie zauważyła.

- Co zamierzasz? - spytał Daniel, kiedy znaleźli się we wschodnim skrzydle domu.

- Główną sypialnię na pewno zajmuje wujek Lloyd.

- Nie wiem.

- To sprawdźmy! - Ruszyła naprzód po puszystym perskim dywanie i otworzyła drzwi sypialni dziadka. Wszędzie rozrzucone były książki. Obok wielkiego łoża stały błyszczące buty do konnej jazdy, a wspaniałe jedwabny szlafrok był przerzucony przez oparcie głębokiego skórzanego fotela. - Zgadza się! To musi być rezydencja wujka Lloyd, bo na pewno nie Berniego. Ale i tak nie chcę tu spać. Wolę apartament moich rodziców. Ty zajmiesz mój dawny pokój. W ten sposób będziemy blisko siebie.

- Czy jest w nim małe łóżeczko? - spytał z sarkazmem, zastanawiając się, jak będzie czuć się w tym domu, nie mówiąc o sypialni zajmowanej przedtem przez małą dziewczynkę.

Spojrzała na niego przez ramię.

- Ufam ci i ty też musisz mi zaufać. Będziesz mógł wybrać sobie meble. Tylko zgódź się na mój plan.

- Tak, proszę pani.

- Dlaczego tak mówisz, skoro jesteśmy sami?

- Twój przodkowie patrzą na nas z portretów.

- Wyglądają arogancko, prawda?

- To nie arogancja, tylko żelazna determinacja. Tacy ludzie jak Kingstonowie dzikie przestrzenie zamienili w nowoczesne państwo.

- No tak... Twój tata też był hodowcą bydła?

- Nie wiem, kim był mój tata - wyznał szczerze.

Zaczerwieniła się.

- Nie chciałam cię urazić, Daniel.
- Nie czuję się urażony.
- To dobrze. Postaw tu walizkę. Twój pokój jest tam.
- O Boże! Naprzeciw twojego!
- No to co? - Uniosła brwi. - Przecież nie będziemy urządzać schadzek.
- Na pewno nie.
- Daj spokój, Daniel. Chodzi mi tylko o to, żebyś był w pobliżu.
- Nie podoba mi się to wszystko, Sandro.
- Zrozum, że naprawdę jesteś mi potrzebny. Nie proszę, żebyś spał ze mną w jednym pokoju, więc się uspokój. Pomyśl sobie, że jestem żołnierzem, który potrzebuje wsparcia w walce.

Lloyd Kingston i jego syn Bernard siedzieli w olbrzymiej bibliotece wypełnionej tysiącami map i książek. Sandrze wydawało się, że oprócz niej nikt nigdy ich nie czytał. Jako dziecko uwielbiała wchodzić na drabinkę i brać książki o przygodach pierwszych osadników. Płakała, czytając o ich śmierci na pustyni. Wujek Lloyd trzymał gdzie indziej ogromny zbiór książek poświęconych botanice. Dziadek gardził jego pasją i złościł się, że wujek nie wykazuje zainteresowania hodowlą bydła ani w ogóle biznesem. Berne ledwie tolerował zainteresowania ojca kwiatami, ziołami i miejscową roślinnością, natomiast ranczo w ogóle go nie obchodziło, Natomiast bardzo byli zainteresowani dorobkiem dziadka, którego testament zapewnił im dostatnie życie.

- Sandra, moja droga! - Barczysty Lloyd Kingston z uśmiechem podniósł się z fotela i podobnie jak Elsa chwycił ją w objęcia.

- Nic się nie zmieniłeś, wujku - powiedziała, dzielnie znosząc uścisk. - Jesteś tak przystojny jak kiedyś.

Tak było naprawdę. Wysoki, ciemnowłosa Lloyd o niemal czarnych oczach nie przytył mimo średniego wieku, choć jego klatka piersiowa była teraz mocniej zbudowana.

- Berne, przywitaj się z kuzynką. - Zmrużył oczy, spoglądając na Daniela. - Możesz już odejść - powiedział wyniośle. - To okropne, że zdarzyła się wam ta awaria. Jak do tego doszło?

Daniel spojrzał na niego przenikliwie.

- Trzeba poczekać na wynik przeglądu, panie Kingston. To może trochę potrwać.

- Nikomu innemu nie udałooby się w tych warunkach wylądować. - Berne Kingston był w wyraźnie wojowniczym nastroju.

- Może ktoś tego nie przewidział - odezwała się Sandra.
- Jak się masz, Bernie?

Skrzywił się.

- Kopę lat - powiedział, mierząc ją wzrokiem. - Jesteś podobna do cioci Pam, tylko znacznie chudsza. Bardzo dziwną masz fryzurę.

- Nie masz się z czego cieszyć. Wkrótce włosy mi odrosną. Nie spodziewałam się, że cię tu spotkam, Bernie. Czy specjalnie czekałeś na mój powrót?

- Nie możesz w to uwierzyć? - rzucił obojętnie.

- Nie.

- Ale jesteś zadziorna. - Roześmiał się. - Zawsze taka byłaś. Nie rozumiem, dlaczego dziadek tak to wszystko wymyślił. Zawsze był dziwakiem, ale Moondai nie powinno przypaść tobie, tylko mnie i tacie. Byłaś ostatnią osobą uprawnioną do dziedziczenia.

- Ostatni będą pierwszymi.

- Bardzo śmieszne!

- Owszem...

- Czy mógłbyś przestać, Bernard? - powiedział Lloyd Kingston, po czym spojrzał surowo na Daniela. - Powiedziałem, że możesz odejść.

Daniel nie poruszył się.

- Przepraszam, panie Kingston, ale pracuję u panny Kingston.

- Chciałabym, żeby Daniel z nami chwilę został, wujku - wtrąciła Sandra. - Gdyby nie on, nie byłoby mnie tutaj.

- Oczywiście, oczywiście. - Lloyd Kingston szybko odzyskał rezon. - Ale to jednak sprawy rodzinne. Usiądźmy przy stole. Dołączysz do nas, Elso?

- Dziękuję - odparła z godnością starsza pani.

- Jakie masz plany? - wypalił Berne, spoglądając na Sandrę. - Sprzedasz ranczo?

- Jakie to ma dla ciebie znaczenie, Bernie? - spytała, siadając w głębokim skórzanym fotelu.

- Duże. Zapomniałaś, że dziadek chciał, żebyśmy tu zostali z tatą, jak długo tylko zechcemy?

- Elsa także - przypomniała Sandra, uśmiechając się do babki. - Nie sądziłam, że zechcesz tu zostać, Bernie. O ile pamiętam, nienawidziłeś życia na ranczu.

- Chyba nie powiesz, że masz zamiar prowadzić Moondai? Nie dasz sobie rady - prychnął pogardliwie.

- Daniel pomoże mi, dopóki nie znajdę fachowego zarządcy na jego miejsce. To znaczy, o ile Daniel nie zechce tu zostać.

Berne spojrzał na niego, a potem na Sandrę.

- Widzę, że macie niezłe konszachty! Daniel to, Daniel tamto.

- Wyrażaj się grzeczniej, Bernard - obruszył się ojciec.

- Sandra ma rację. Nie możesz zmarnować życia tak jak ja. Dziadek wiedział, że ani ty, ani ja nie umielibyśmy zarządzać ranczem.

- To nie jest powód, żeby oddawać Moondai Sandrze. - Chude policzki Bernea zaczerwieniły się ze wzburzenia. - Ona wie jeszcze mniej niż my. To niesprawiedliwe, że nie możemy podważyć testamentu. Adwokat taty powiedział, że byłaby to tylko strata czasu.

- Pamiętasz, żeby dziadek kiedyś zrobił coś niezgodnego z prawem? - rzucił oschle Lloyd. W przeciwieństwie do syna wyrażał się bardzo pojednawczo. - Na rok przed śmiercią tata był długo w Brisbane. Chyba wtedy postanowił, że córka Trevora dostanie Moondai. W końcu Trevor był jego ulubieńcem. Ja na to nie zasługiwałem.

- Ja też nie - powiedziała Sandra. - Testament dziadka był dla mnie takim samym szokiem jak i dla was.

- Ale na pewno nie był szokiem dla Daniela. - Berne wykrzywił się ze złości.

- To znaczy? - Daniel poruszył się niespokojnie.

- Dobrze wiesz, o czym mówię! Byłeś przecież powier-

nikiem mego dziadka. Ufał ci i traktował jak wnuka. Może miał swój plan? Sandra mogła po nim dziedziczyć, a ty doskonale wywiązywałeś się ze swoich obowiązków, specjalnie to demonstrując, żeby mnie pograżyć. A tata do reszty zgłupiał. Myśli tylko o tych swoich roślinach.

- Co ty wygadujesz, Berne? - rzucił cierpko Lloyd.

- Nie jestem idiotą! Długo o tym myślałem. Dziadek spodziewał się, że bez niego ranczo popadnie w ruinę i chciał zapewnić Sandrze odpowiedniego męża. Wielu ludzi sądzi, że Daniel to supergość, uczciwy i kompetentny. A tak naprawdę to lepszy cwaniak. Umie robić dobre wrażenie, choć jest nikim. Dziadek wyciągnął go z biedy. Zmusił go do obietnicy, że poślubi Sandrę. Na pewno nie wierzył w to, że jakaś kobieta może zarządzać ranczem. Sandra nie jest nawet kobietą. Wystarczy na nią spojrzeć. Niewiele urosła od czasu, gdy miała dziesięć lat.

- To prawda, niewiele urosłam. - Spojrzała na niego kpiąco. - Ale wiesz, jak się mówi, Bernie? Wysoki jak brzoza, głupi jak koza. W przeciwieństwie do ciebie wydorostałam. Ukończyłam z wyróżnieniem studia na uniwersytecie i mam tytuł magistra psychologii. Dlatego twoja teoria jest dla mnie bardzo interesująca. Czy według ciebie Daniel jest moim idolem?

- A co, może nie?

- Jak zwykle pleciesz bzdury, Berne - wtrącił gniewnie Daniel. - Spodziewałem się, że pan Kingston zapisze Moon-dai twemu ojcu, który mógłby zatrudnić najlepszych fachowców. Mój udział w spadku był dla mnie wielką niespodzianką. Pan Kingston nigdy nie rozmawiał ze mną na temat swojej wnuczki.

- Myślisz, że ci uwierzymy? - krzyknął Berne. - Niewi-
niatko. .. Cały czas coś knułeś z dziadkiem.

- Zarządzanie tak wielkim ranczem to nie przelew-
ki, Berne - powiedział z nieukrywaną niechęcią Daniel. -
Twój dziadek miał do mnie mnóstwo spraw, ale zawsze by-
ły one związane z pracą. Dlatego teraz, zamiast siedzieć tu
i słuchać bzdur wyspanych z palca, powinienem sprawdzić,
co działo się podczas mojej nieobecności.

Sandra spojrzała na niego. Nie chciała, by ich opuszczał.

- Jeszcze nic nie zjadłeś, Daniel - powiedziała.

- Nie szkodzi. - Skinął głową i wyszedł.

Bez słowa ruszyła za nim.

- Przepraszam cię - powiedziała, dopędzając go w holu.
- Bernie zawsze był podłym zazdrośnikiem.

- Plecie bzdury!

- Jesteś zły? - Dotknęła jego ramienia.

- Jeszcze pytasz? - Był naprawdę wściekły. - Nic z tego
nie będzie, Sandro. Chciałbym ci pomóc, ale nie mogę słu-
chać takich typów jak Berne. Arogancja twego wujka też
wychodzi mi już bokiem.

- Dlaczego bardziej przejmujesz się nimi niż mną? -
rzuciła gniewnie. - Potrzebuję twojej pomocy, Daniel.

- Do diabła! - Był w rozterce.

- Dasz sobie z nimi radę.

- Mam nadzieję. - Spojrzył w przeczysty błękit jej oczu.
Najważniejsze było to, czy da sobie radę z panną Kingston.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Choć jedzenie było smaczne, lunch upłynął w ponurej atmosferze. Kiedy Meg, prawie niezmienną mimo upływu lat, stanęła w drzwiach biblioteki, Sandra rzuciła się w jej objęcia.

- Sandy! - W oczach gospoisi błysnęły łzy. - Jak to dobrze, że wróciłaś!

- Tak się cieszę, że cię widzę, Meg. Nigdy nie zapomniałam, jaka byłaś dla nas dobra.

- Pisałam do ciebie, kochanie.

- Nie dostałam żadnych listów. - Sandra zmarszczyła brwi.

- Tak myślałam - odparła Meg bez zdziwienia. - Ale najważniejsze, że tu jesteś.

- Czy musimy wysłuchiwać tych jęków? - wybuchnął Berne. - Jestem głodny.

- Musisz popracować nad sobą, Bernard - oświadczył ostro Lloyd. - Nic w życiu nie osiągniesz, jeśli będziesz taki niecierpliwy.

- A ty osiągnąłeś? - spytał gniewnie syn.

Ku zdziwieniu Sandry Lloyd nic nie odpowiedział.

Meg nakryła do stołu i zasiedli w jadalni, z której rozta-

czał się wspinały widok na ogród za domem z pachnącymi cytryną eukaliptusami. Menu składało się z pieczonego kurczaka, półmiska wędlin, sałatki ziemniaczanej i sałaty z tajskim sosem chili. Sandra rozmyślnie nie wybrała miejsca u szczytu mahoniowego stołu na dziesięć osób, domyślając się, że zechce je zająć wujek. Naprzeciw niej siedział Berne, a Elsa mimo próśb zajęła odległe miejsce na końcu stołu.

Wujek Lloyd wciąż starał się zachowywać uprzejmie, a po krótkiej wymianie zdań na temat Pameli, którą kiedyś tak oczerniano, Berne zaczął dopytywać się o plany Sandry.

- Wiesz już chyba, co zrobić z ranczem? - spytał, nabijając kawałek ziemniaka na widelec.

- Daj mi spokój, Bernie - odparła. - Dopiero co przyjechałam.

- Prawdziwy cud! - Przewrócił oczami.

- To prawda. Gdyby Daniel nie był tak dobrym pilotem, pewnie byłabym w szpitalu albo już nie żyła. Nie wiedziałam, że dziadek chciał, żebym odziedziczyła po nim Moon-dai. Przecież to on kazał mnie i mamie się stąd wyprowadzić.

- Nie powinien był tego robić - odezwała się niespodziewanie Elsa.

- Na pewno nie - oświadczyła z żalem Sandra.

- Daj spokój! - Berne uśmiechnął się zjadliwie. - Przecież twoja matka była zwykłą dziwką.

- Tego już za wiele, Bernard! - oburzył się ojciec. - Licz się ze słowami. Masz natychmiast przeprosić Sandrę.

- Chyba żartujesz, tato - zdumiał się Berne. - Chcesz odwołać to, co wygadywałeś o cioci Pam?

Policzki Lloyda Kingstona zrobiły się czerwone jak piwonie.

- To już przeszłość, Bernard. Zresztą tylko żartowałem.

- Żartowałeś? - Berne wybuchnął gromkim śmiechem. Sandrę ogarnęła wściekłość.

- Moja mama bardzo cierpiała powodu tych żartów, wujku. Ja też. Jeśli mam zapomnieć o przeszłości, to wy musicie postąpić tak samo. Nie prosiłam dziadka, żeby mi zapisał ranczo. To była jego decyzja. Nie wiem, dlaczego...

- A to dobre! - Berne rozparł się na krześle. - Powiem ci, dlaczego. Dziadek bez przerwy knuł coś z Danielem. Po prostu ignorował mnie i ojca. Wiedział, że od razu sprzedałbyśmy Moondai.

- A Elsa? - Sandra rzuciła wzrokiem na babkę. - Przecież była żoną dziadka.

Berne otworzył oczy ze zdumienia.

- Elsa sama przyzna, że ledwie może poradzić sobie z jadłospisem. To Meg prowadzi dom.

- Dlaczego jesteś taki niegrzeczny, Berne? - spytała z oburzeniem Sandra.

- Daj spokój, Alexandro! - Elsa machnęła kościstą ręką.

- Nie, nie zostawię tego tak. Wiem, że Meg jest gospodynią, ale zanim wyszłaś za dziadka, prowadziłaś z powodzeniem interesy. Nigdy za tym nie tęskniłaś?

- To było dawno temu. - Elsa zapadła się w krzesło. - Straciłam już dawną mądrość. Wiem, że chcesz być uprzejma, Alexandro, ale słowa Bernarda są dla mnie bez znaczenia.

- Ach, tak? - rzucił z sarkazmem Berne. - Prawda jest taka, że straciłaś mądrość w dniu, w którym poślubiłaś

dziadka. Nigdy nie zgodziłby się na to, żeby jego żona była samodzielna. Chciał mieć uległą kobietę, a nie partnera do interesów. Pozwoliłaś się zmienić w zwykły mebel.

- A ty jesteś lepszy? - Elsa przeszła go wzrokiem. - Obijasz się, a Daniel robi wszystko za ciebie. Młodzi mężczyźni bez ambicji napawają mnie wstrętem.

- No proszę - zachichotał Berne. - Ona umie mówić.

- Jesteś arogancki, Bernard, za to całkiem pozbawiony intelektu - powiedziała poważnie Elsa. - Wcale nie mam ochoty z tobą rozmawiać.

- To świetnie - odparował, błyskając ciemnymi oczami.
- Nie mogę się doczekać, kiedy stąd zniknę. I tak nic tu nie znaczę.

Sandra, zaskoczona ostrą wymianą słów, nagle pożałowała kuzyna.

- Przykro mi, Bernie - powiedziała - że dziadek tak cię potraktował. Podobnie jak wujka Lloyda. To był bardzo **dziwny człowiek**.

- **święte** słowa! - poparła ją Elsa. - Powinien odpowiadać przed sądem za moralne okrucieństwo wobec rodziny.

- Bzdury! - Berne dźgnął widelcem kurczaka, jakby chciał kogoś przesyć szpadą. - Nie bądź taka niewdzięczna, Elso. Może dziadek nie myślał o tobie bezustannie, ale zabezpieczył cię na resztę życia. Dostałaś pokaźny spadek.

- Tak powinno być - szepnęła Sandra.

- Chętnie odesłałabym mu to do piekła - odparła ponuro Elsa. - Nie oczekiwałam od Rigbygo pieniędzy, tylko miłości i uwagi. Tak samo jak wy. Rigby przez całe życie

kochał tylko dwie osoby: Catherine i Trevora. Natomiast my wszyscy w ogóle się dla niego nie liczyliśmy.

- Cieszę się, że zaczęłaś z nami rozmawiać, Elso - powiedział cicho Lloyd. - Pewnie zawdzięczamy to przyjazdowi Sandry.

- Być może. Lubiłam jej ojca. - Skierowała wyblakły wzrok na Sandrę. - Wzięłaś na siebie wielki ciężar, moja droga. To ranczo wykończyło twego ojca.

- Och, na litość boską! - westchnął ciężko Lloyd. - Nie mogę tego słuchać, Elso.

- Moja matka do dziś uważa, że to nie był wypadek - wyrwało się Sandrze.

- A ty jak uważasz? - spytał wujek Lloyd.

- Czy możesz powiedzieć mi prosto w oczy, że nie byłeś wrogiem mego ojca? - spytała, nie odrywając od niego wzroku.

Twarz Lloyd'a zrobiła się ciemnoczerwona.

- Wybaczam ci, Sandro, bo tylko powtarzasz słowa matki. Byłaś wtedy dzieckiem. Pamela chciała zemścić się za to, co o niej opowiadałem. I nie były to wcale kłamstwa. Kochałem swego brata, a twego ojca. Podziwiałem go za to, że jest mądrzejszy ode mnie, jak uprzejmie zauważyła Elsa. W przeciwieństwie do taty Trevor miał serce. Nigdy nie uważałem go za wroga. To potwarz. Nikogo nie uważam za swego wroga.

- Nawet mnie? - spytała cicho Sandra.

- Zwłaszcza ciebie - odparł bez wahania. - Jesteś córką Trevora.

- Jesteś tego pewien, tato? - spytał złośliwie Berne. - Nie

uwierzyłbym ci tak łatwo na miejscu Sandry. W tej rodzinie nikt nie mówi prawdy.

- Racja - przytaknęła Elsa, przegarniając długimi palcami włosy. - Należało ci się to ranczo, Alexandro, bo na pewno przypadłoby twemu ojcu.

Sandra przygryzła dolną wargę.

- Wybaczcie. - Wstała od stołu. - Chciałabym rozejrzeć się po okolicy. Wezmę dzipa, jeśli nie macie nic przeciwko temu. - Wsunęła pod stół krzesło i stała, wciąż trzymając się oparcia. - Poprosiłam, żeby Daniel zamieszkał u nas przez jakiś czas.

Zapadła martwa cisza.

- Co zrobiłaś? - odezwał się wreszcie Berne.

- Czy to rozsądna decyzja, Sandro? - spytał nie mniej zszokowany Lloyd.

Wzruszyła ramionami.

- Elsa się zgodziła. Daniel może spać w mojej dawnej sypialni. Będzie pomagał mi zgodnie z wolą dziadka. Ja zajmę dawny apartament rodziców.

- Jeśli chcesz, mogę wyprowadzić się z głównej sypialni - zaproponował Lloyd Kingston.

- Dobrze wiesz, że ona tego nie powie, tato. Ale, jak wiadać, nie tak łatwo ją przechytryć.

Sandra była zaskoczona, że Berne w tej dziwacznej rozgrywce nagle stanął po jej stronie. Bo chyba tak powinna odczytać jego słowa.

- Może chciałbyś przejechać się ze mną po okolicy, Berne? - rzuciła pojednawczo.

- Mówisz poważnie? - spytał wyraźnie zbity z tropu.

- Czy nie powinniśmy się zaprzyjaźnić? Przecież jesteśmy kuzynami.

Berne zastanawiał się przez chwilę.

- Dzisiaj nie mogę. - Potrząsnął szybko głową. - Ale dziękuję za zaproszenie.

- Dlaczego tak się denerwujesz, skarbie? - spytała spokojnie Meg, gdy Sandra powiedziała jej, że Daniel ma zamieszkać w rezydencji.

Sandra uśmiechnęła się krzywo.

- Mam złe wspomnienia z dzieciństwa, Meg. Ufam Danielowi i przy nim będę czuć się bezpieczniej. Poza tym naprawdę chcę dowiedzieć się od niego jak najwięcej o ranczu.

- Nie mogłaś znaleźć lepszego nauczyciela - powiedziała gosposia, szykując kanapki z szynką na lunch dla Daniela. - Był najbliższym współpracownikiem twego dziadka. Można powiedzieć, że Rigby Kingston traktował go jak wnuka, natomiast Berniego... no, trzymał na dystans.

- To musiało być okropne dla Berniego. - Mimo wszystko współczuła swemu nieszczęsnemu kuzynowi.

- Na pewno nie było miłe. - Meg potrząsnęła głową. - Pora, żeby Bernie zdecydował się, co chce robić w życiu. Nie gniewaj się, że to powiem, Sandy, ale odziedziczony majątek może kompletnie zabić ambicję.

Zdumiewające, jak szybko Sandra przypominała sobie przeszłość. Siedząc za kierownicą dżipa, mijała schludne domki pracowników rancza i machała ręką do napotykanym matek z dziećmi, gospodarzy i mechaników w po-

plamionych smarem kombinezonach. Wreszcie zatrzymała auto i wysiadła.

- Cześć! Cieszę się, że was widzę. Jestem Sandra. Wróciłam do domu po długiej nieobecności.

Jej młodość, filigranowa sylwetka i przyjazny uśmiech momentalnie zjednywały jej sympatię. Wszyscy byli zachwyceni, że mogą poznać nową szefową. Wiedzieli, że ma tu przyjechać. Testament pana Kingstona był głównym tematem wszystkich rozmów. Zastanawiali się, co będzie z ich pracą i w ogóle z Moondai. Słyszeli też o awarii helikoptera, który leciał z Darwin.

Uśmiechnięta wnuczka Rigbyego Kingstona nie przypominała w niczym ponurego dziadka. Z radością witała się z ludźmi, których pamiętała z dzieciństwa, umawiała się na poranną herbatkę z młodymi matkami, które widziała po raz pierwszy w życiu, gdyż przybyły do Moondai już po jej wyjeździe. Przyjęła także zaproszenie na wizytę w szkole, w której uczyły się dzieci z rancza, które nie przekroczyły dziesiątego roku życia.

Mogłabym mieszkać tu na stałe, pomyślała, wsiadając znów do dżipa. Ci ludzie są tak serdeczni. Do diabła z rodziną!

Jeden z pracowników powiedział jej, gdzie może być teraz Daniel. Jechała na krater powstały w wyniku wielkich trzęsień ziemi setki milionów lat temu. W rodzinie Kingstonów używało się tej nazwy na określenie porośniętej trawą kotliny, która prawie cała - z wyjątkiem szerokiego kanionu - była otoczona skałami zbudowanymi z czerwonego kwarcytu i piaskowca. Najwyższy szczyt, na który

można się było wspiąć, nosił nazwę Mount Alexandra na cześć żony jednego z przodków Kingstonów, której imię nosiła także Sandra. Było to raczej wzgórze, ale na tle idealnie płaskiej równiny prezentowało się imponująco. Droga na szczyt nie należała do bezpiecznych z powodu spadających kamieni, ale za to widok z wierzchołka był wart trudów wspinaczki.

Alexandra pamiętała, jak ojciec siedział z nią tam, wysoko, osłaniając ją przed porywistym wiatrem. Śmiał się, że znajdują się na wierzchołku świata.

Dlaczego umarłeś, tato? Dlaczego mnie zostawiłeś? Było mi tak ciężko. Czy wiesz, co musiałam przeżyć? Jak się bałam, gdy ciebie zabrakło? I jak nienawidziłam Jema?

Często rozmawiała z ojcem w myślach. Tak samo jak z przyjaciółką Nikki, którą pytała, jak jest w niebie. Takie dzielne i radosne dzieci jak ta mała zasługiwały na wieczne szczęście. W porównaniu z ich cierpieniami własne zmarnięcia wydawały się nieważne.

Ojciec też nie chciał umrzeć. Choć powiedziała, że nie myśli o przeszłości, wciąż nie mogła wybaczyć wujkowi Lloydowi. Tego, co było, nie da się tak łatwo zapomnieć.

Przysłoniła oczy rondem kapelusza. Dobrze, że kupiła go w Brisbane. Jakoś trzymał się na głowie, choć nie miała loków, na których mógłby się opierać. Eleganckie okulary przeciwsłoneczne bez przerwy zsuwały się jej z nosa. Sandra pamiętała ten niezwykły blask światła, bezchmurne niebo i krwistoczerwony piasek, który wiatr układał w fascynujące zawijasy. Pamiętała, jak pustynia budzi się po deszczu i zakwitają białe i żółte kwiaty helichrysum,

i jak wspaniale wygląda gorejące słońce znikające za górami Macdonnella wiecznie zasnutymi fioletowobłękitną poświatą. O zachodzie słońca pasły się tu dzikie osły, a całe kolonie królików wyskakiwały ze swych kryjówek, obserwując bacznie, czy psy dingo nie przybyły na łowy.

Patrząc, jak papużki i małe zebry piją z wodopoju, nieświadome tego, że krażący nad nimi sokół leniwie szykował się do ataku, Sandra rozmyślała nad odwiecznymi prawami natury. Jak świat światem, zawsze są drapieżcy i ofiary. Znow zaczęła się zastanawiać, co spowodowało awarię w śmigle ogonowym ich helikoptera. Tłumaczenia Daniela były niezrozumiałe dla laika. Czy ktoś świadomie uszkodził system kontrolny, czy nastąpiła awaria mechanizmu? Wiele osób poniosło śmierć w katastrofach śmigłowców w australijskim buszu wkrótce po starcie albo podczas lądowania. Latanie było szczególnie niebezpieczne nad rozpaloną słońcem pustynią, lecz przy olbrzymich odległościach nie było luksusem, tylko koniecznością.

Całe szczęście, że Daniel jest tak doskonałym pilotem. Miał także licencję na łatanie samolotami, podobnie jak Bernie. Nie była pewna, czy Lloyd latał helikopterem, ale na pewno posiadał licencję pilota tak jak jej ojciec i dziadek. Pomyślała, że ona także powinna nauczyć się latać. Musi pokonać lęk, jeśli naprawdę chce zostać w Moondai.

Przejażdżka szerokim kanionem była niebywale atrakcyjna. Zbocza skalne mieniły się ognistą czerwienią z odzieniami różu, żółci i brązu oraz ostrą bielą połyskującą blaskiem ametystu. Wysoko na każdym dostępnym skraw-

ku ziemi zakorzeniły się twardolistne trawy, zieleniące się dzięki niedawnym opadom. Piaszczyste dno kanionu wyglądało jak rozpalona czerwona magma, przypominając o eksplozji, która uformowała krater w pradawnych czasach. Po obu stronach kanionu błyszczały w słońcu wolno sączące się strumienie wody, które zaczynały już wysychać. W pobliżu, w gęstwinie liści eukaliptusów, różowo-szare kakadu czyściły sobie piórka i odpoczywały, jak zwykle trzymając się zbiorników wodnych. Sandra tu się wychowała, więc dobrze pamiętała te widoki z dzieciństwa. Choć od tej pory minęło wiele lat, czuła, że w magiczny sposób jest związana z tą krainą.

Sam krater, przez dziesiątki tysięcy lat znany tylko Aborygenom, stanowił prawdziwy cud natury, przyciągając olbrzymie stada ptaków i dzikich zwierząt. Pokryty był gęstą trawą i tyloma gatunkami żółtych, różowych i purpurowych kwiatów, że nie potrafiłaby ich nawet zliczyć. To było raczej zadanie dla wujka Lloyda, który bardziej kochał wszystkie rośliny niż ludzi. Był nie tylko zamiłowanym botanikiem, ale i doskonałym fotografem. Czy to możliwe, żeby człowiek, który tak kochał przyrodę, mógł okazać się mordercą?

Dojechała do zagród, w których trzymane było bydło przeznaczone do znakowania i kastracji i wysiadła z dżipa. Daniel zmierzał w jej kierunku. Był wysoki i przystojny, a jego oczy miały dziwny kolor słońca odbijającego się na wodzie.

- Cześć! - Dotknął palcem runda kremowego kapelusza.
- Cześć, Daniel. Nie zjadłeś lunchu, więc przywiozłam ci kanapki.

- Jesteś bardzo miła. - Uśmiechnął się, patrząc z podziwem na jej delikatną gładką twarz. - Zaraz mamy przerwę. Poproszę, żeby Nat zrobił herbatę. Będiesz mogła wszystkich poznać.

- Z przyjemnością. - Zerknęła na pracujących mężczyzn.

Szczupły i muskularny Nat podał Sandrze kubek herbaty i pieczony w ognisku placek z dżemem. Przyjęła to z uśmiechem, nie wspominając nawet, że zwykle nie pije herbaty i nie lubi dżemu.

Kiedy wraz z Danielem usiedli w cieniu pod najgęściej ulistnionym drzewem, czuła, że w niczym towarzystwie nie byłoby jej tak przyjemnie. Jak to możliwe, skoro znali się tak krótko?

Nieświadom niczego Daniel wyjął kanapki z torebki.

- Wspaniałe!

- Jedz! - rzuciła z uśmiechem. Wysokie eukaliptusy były piękne, tak samo jak barwny dywan rosnących wokół kwiatów. Chłodny wietrzyk delikatnie muskał twarz. Wszystko jest takie cudowne, pomyślała z zachwytem. - Musisz być głodny. - Przeciągnęła się leniwie.

Daniel zasłonił ręką kanapki.

- Pozwól, że trochę zjem, zanim się do nich dobierzesz.

- Nie bój się, jestem już po lunchu.

- Jak było w domu?

- Wujek Lloyd był w nastroju pojednawczym, a Bernie zachowywał się jak zwykle. Elsa trochę mnie zaskoczyła. Nigdy nie mogłam jej zrozumieć. Jest taka cicha, ale wydaje mi się, że wszystko w niej aż kipi.

- To niedobrze. Moim zdaniem zachowuje się jak na-

wiedzona. - Wziął drugą kanapkę, przyglądając się z zachwytem Sandrze. Była jeszcze piękniejsza niż kwiat. Na prawym policzku miała mały pieprzyk, co podkreślało porcelanową gładkość cery, a wraz z ciemnymi brwiami i rzęsami stanowiło wspaniały kontrast ze złotymi włosami. Któż wyglądałby tak pięknie z taką fryzurą?

Udawała, że nie widzi, jak Daniel bacznie ją obserwuje. Jednak chciała, żeby na nią patrzył.

- Dlaczego tak mi się przyglądasz? - spytała wreszcie.

Roześmiał się.

- Czy kot nie może patrzeć na królową?

- Czemu nie, jeśli ma okazję? Nie przepadam za dżemem. Może chcesz trochę placka, a ja zjem kanapkę?

- Która? - spytał z rozbawieniem.

- Och, wszystko jedno! Nie najadłam się podczas lunchu, bo Bernie tyle gadał, że zepsuł mi apetyt.

- Ja też nie mam ochoty na dżem - odparł, podając jej kanapkę z szynką i musztardą, zerkając przy tym na Nata.

- Słodczyce mnie zatykają.

- Musisz to zjeść, bo Nat się obrazi.

- Nic mu nie będzie. Czy powiedziałaś już im, że mam u was mieszkać?

- Powiedziałam, że będziesz się czuć jak w niebie.

- Na pewno - wymamrotał pod nosem.

- Naprawdę jestem ci bardzo wdzięczna. Elsa przyjęła tę wiadomość ze spokojem. Nie czuje się dobrze w towarzystwie wujka i Berniego, który bywa po prostu grubiański.

Daniel wysaczył resztę herbaty z kubka.

- Nie psuj tego pięknego dnia.

- Prawda, że jest pięknie? - Nad jej głową przeleciał wspaniały motyl. - Kwiaty tak pachną! Zawsze kochałam Moondai.

- Nic dziwnego, skoro tu się wychowałam. - To niesamowite, ile energii mieściło się w tej drobnej postaci.

- Zastanawiam się, dlaczego moja matka uważała, że wujek Lloyd chciał się pozbyć taty.

- Nie sądzę, że byłby zdolny kogoś zabić.

- Nie musiał tego robić sam.

- Twój wujek nie jest najmilszym człowiekiem na świecie, ale nie wygląda na mordercę.

- W takim razie kto? Bernie był wtedy dzieckiem. Elsa nie pasuje na morderczynię. Źle zrobiła, wychodząc za dziadka, bo znów trafiła na mężczyznę, który nie traktował jej z szacunkiem. Seks może być najgorszą rzeczą na świecie.

Odchylił głowę, przyglądając się uważnie Sandrze.

- Ale i najlepszą - rzucił od niechcienia.

- Słucham? - Serce zatrzepotało mocno w jej piersi.

- Nie zgadzasz się? - Uniósł brwi.

Zarumieniła się.

- Za dużo chcesz wiedzieć.

- Możesz mi ufać, Sandro. Nikomu nie zdradzę twoich sekretów. Ale mówiliśmy o czymś innym. Kto mógł tak bardzo nienawidzić twego ojca, że aż chciał go zamordować? W twojej rodzinie nie najlepiej się układa, ale moim zdaniem to był wypadek. Twoja matka zapewne nienawidziła wujka Lloyda tak samo jak on jej. Dlatego rzucała na niego oskarżenia.

- Wujek miał rację, że matka nie zachowywała się wzorowo. - Wpatrzyła się w fusy na dnie kubka, jakby chciała wywróżyć z nich odpowiedź. - Zresztą do dziś lubi uwodzić mężczyzn. Oczywiście kiedyś nie rozumiałam, co mówi wujek. W końcu byłam tylko dzieckiem. Ale dobrze wiedziałam, o co mu chodziło, gdy twierdził, że tata nie jest moim ojcem.

- To podłe kłamstwo.

- Czasem miałam ochotę zdiełć go tasakiem - wyznała, obserwując pięknego błękitnego motyla, który wciąż krążył nad ich głowami.

- Jesteś naprawdę niebezpieczna. Mam nadzieję, że nigdy się z tobą nie pokłócę.

Stuknęła go w ramię.

- Nawet tak nie mów, Daniel.

- A jeśli zażadasz zbyt wiele? - spytał poważnie.

- Podpisałeś kontrakt na następny rok. Za pół roku skończę dwadzieścia jeden lat. Potem musisz zostać jeszcze sześć miesięcy.

- W porządku, Nie ruszaj się - poprosił cicho.

- Co się stało?

- Motyl usiadł na twoich włosach. Pewnie myśli, że to chryzantema.

- Och! Czy jeszcze tam siedzi?

- Chcesz, żebym go złapał?

- Uszkodzisz mu skrzydła.

- Na pewno nie.

Zamknęła oczy, a kiedy znów je otworzyła, Daniel był jeszcze bliżej niej.

- Jesteś gotowa? - spytał.

- Tak.

Powoli otworzył dłoń. Wspaniały błękitny motyl przez chwilę siedział mu na ręku, po czym odfrunął.

- To dobry znak! - szepnęła, wstrzymując oddech.

- Z pewnością - odpowiedział także szeptem.

Przez chwilę siedzieli nieruchomo, po czym Daniel się wyprostował.

- Czy dziadek nie miał dla ciebie żadnej propozycji? - spytała, opierając się o pień drzewa.

- Jakiej propozycji, panno Kingston? - spytał.

- Och, nieważne. Chyba wpadam w paranoję. Bernie spadł kiedyś z konia i może dlatego też zachowuje się jak wariat. - Zamilkła, patrząc, jak kowboje zaczynają scho-dzić się na popołudniową herbatę. - Pora się przywitać.

- Słusznie. - Daniel wstał i wyciągnął do niej rękę. - Niektórzy z nich znają cię od dziecka.

- **Jadąc** tutaj, poznałam już trochę mieszkańców. - Dotyk jego ręki sprawił, że teraz dreszcz przeniknął jej całe ciało. - Jakie cudowne są tu dzieciaki! Nauczycielka chce, żebym zajrzała na lekcję. Umówiłam się na poranne herbatki, a potem mam zamiar zaprosić wszystkich na ranczo. Także Aborygenów, którzy mieszkają w okolicy.

- Wygląda na to, że zamierzasz tutaj zostać.

- Kto wie? - Westchnęła głęboko. - Jedno jest pewne, że moje życie zmieniło się na zawsze.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Daniel spodziewał się, że pokój będzie niewielki, skoro należał kiedyś do małej dziewczynki, ale sypialnia Alexandry Kingston okazała się olbrzymia.

- Czy to ci odpowiada? - Sandra wskazała na łoże z baldachimem przykryte kołdrą z haftowanego jedwabiu. - Obok jest garderoba i łazienka.

- Doskonale. - Rozejrzał się z ciekawością. Ściany były obwieszane pięknymi obrazami. W nogach łóżka stała duża antyczna komoda, a pod sufitem wisiał kryształowy kandelabr.

- To bakarat - rzuciła nonszalancko.

- Tak, oczywiście - powiedział, choć nigdy dotąd nie widział wyrobów słynnej francuskiej huty szkła i szlifierni w Baccarat. Była tu jeszcze wygodna sofa obita takim samym złotym jedwabiem jak kołdra oraz trzy fotele. - Mało kto może pochwalić się taką sypialnią. - Poglądził poduszkę.

- Chciałam, żeby moja sypialnia była inna.

- To ci się udało. Dziwi mnie tylko, że wykazałaś się takim gustem już jako dziecko.

Usiadła w fotelu w purpurowo-złoto-brązowych barwach.

- Miałam osiem lat, gdy poprosiłam tatę, żebyśmy obejrzeli meble złożone na strychu. Znalazłam ten kandelabr i tata zaraz go naprawił.

- A gdzie była wtedy twoja matka? - Wyczuwał, jak bardzo musiała być osamotniona po śmierci ojca.

- Niedaleko - odparła enigmatycznie. - Też powiedziała, że mam dziwny gust.

- Dość osobliwy jak na małą dziewczynkę.

- Chciałam, żeby ta sypialnia wyglądała jak z „Baśni z 1001 nocy”. Nie uważasz, że ten perski dywan jest cudowny?

- Jeszcze pytasz? - Cofnął się, wpatrując się w kwieciste wzory na dywanie. - Można na nim latać?

- Ależ nie! - Roześmiała się. - To dziewiętnastowieczny isfahan. Moja prapraprababka Alexandra była bogatą szkocką dziewczyną i zapaloną kolekcjonerką. To jej portret. - Wskazała na arystokratycznie wyglądającą młodą kobietę o porcelanowej cerze, gęstych rudych włosach i zielonych oczach. Nie była piękna, gdyż rysy twarzy miała ostre, ale wyglądała majestatycznie w zielonej aksamitnej sukni.

- Miło mieć przodków - stwierdził sucho Daniel.

- Nigdy nie próbowałeś się dowiedzieć, kim jest twój ojciec? - spytała cicho.

- Próbowałem, ale nic z tego nie wyszło. - Spojrzał na Sandrę. Jej oczy, błyszczące jak klejnoty, przybrały barwę fioletu. Sama wyglądała jak z obrazu.

- Przepraszam, Daniel...

- Nie ma za co. - Zaczął krążyć po pokoju, nie wiedząc, czy naprawdę pragnie jej współczucia.

- Co się stało z twoją matką?

Wziął do ręki jakiś srebrny drobiazg, po czym odłożył go na miejsce.

- Umarła. Nie chcę o tym mówić.

- Może powinieneś ze mną porozmawiać. Poznałam, czym jest śmierć. Twoja matka musiała być bardzo młoda?

- Tak - odparł niechętnie - ale wydaje mi się, że to było wczoraj.

- Rozumiem - powiedziała, patrząc mu w oczy. - Ja też dokładnie pamiętam to popołudnie, gdy pochowano mojego ojca. Wszyscy członkowie naszej rodziny spoczywają w Moondai.

- Wiem. - Znał cmentarz, na którym został pochowany Rigby Kingston obok pierwszej żony Catherine, która zmarła na raka, ukochanego syna Trevora i swoich przodków. Prochy matki Daniela, zgodnie z jej ostatnią wolą, rozrzucano na pustyni.

- No tak, przecież mieszkasz tu. Dziadek nie chciał się zgodzić, żebym brała udział w tym pogrzebie. Bóg jeden wie dlaczego, może starał się uchronić mnie przed rozpaczą. Pamiętam, jak trzymałam go za rękę.

- Tak? - Daniel przysiadł na wielkiej rzeźbionej komo-dzie. Nigdy nie sądził, że tak zauroczy go Alexandra Kings-ton. Przede wszystkim była jego szefową. - Dlaczego nie matkę?

- Była roztrzęsiona, cały czas płakała. Wszyscy byli ubrani na czarno, ale ja miałam na sobie żółtą sukienkę, którą bardzo lubił tatuś, i żółtą wstążkę we włosach. Kiedy opuścili trumnę, chciałam wskoczyć do grobu. Mama

zanosiła się od płaczu, ale ja, dzięki dziadkowi, zdołałam się opanować.

- A wujek Lloyd?

- Nie płakał, ale wyglądał okropnie. Wrzucił do grobu jakąś książkę w skórzanej oprawie. Ja wrzuciłam list i złoty puchar, który zdobyłam na zawodach konnych w Alice. Mama cisnęła czerwoną różę, co bardzo rozgniewało dziadka, ale powiedział o tym dopiero po pogrzebie.

- To musiał być dla ciebie straszny dzień, Sandro.

Przycisnęła rękę do skroni.

- Może dlatego tak ci ufam, Daniel. Oboje przeżyliśmy coś straszego, oboje straciliśmy ojców.

- Nie można tęsknić za kimś, kogo się nie znało - skłamał. - Ty przynajmniej masz wspomnienia. - Wstał, starając się ukryć ból.

Umieć czytać mu z twarzy, pomyślała Sandra. Na pozór jest spokojny i wesoły, ale to bardzo wrażliwy człowiek.

- Chcesz zobaczyć mój pokój? - spytała, podrywając się z fotela.

- Co za pytanie? Oczywiście!

- Mam zamiar dużo zmienić, bo jest bez wyrazu. Pewnie myślałaś, że każę ci spać w dzieciennym łóżeczku?

Roześmiał się.

- Nie przypuszczałem, że tu będzie tak wytwornie.

- Chcę, żebyś był szczęśliwy, Daniel.

Ruszyła ku otwartym drzwiom prowadzącym do apartamentu rodziców. Utrzymany w niebieskoszarej i kremowej tonacji, sprawiał bardzo nobliwe wrażenie. Na ścianach wisiało kilka obrazów, a obok białego marmurowego

kominka stał piękny chiński parawan. Nad kominkiem wisiał portret ślicznej małej dziewczynki z wielkimi błękitnymi oczami i kaskadą złotych loków.

- Poznajesz mnie? - Gdy w milczeniu przyglądał się słodkiej, niewinnej dziecięcej buzi, ponagliła go: - Daniel?

- Pozwól, że się przyjrzę. Kto to namalował?

- Przyjaciel taty, który jest teraz sławnym architektem w Singapurze.

- Śliczne... Podziwiam twoje loki.

- Na tym zdjęciu widać je wyraźniej. - Podała mu ramkę, w której było kilka zdjęć.

- Czy to Nikki? - spytał cicho, wskazując jedno z nich.

- Tak.

- Dziękuję, że mi ją pokazałaś. - Ze ściśniętym gardłem przyglądał się czarno-białej fotografii. Sandra, okrągłsza na twarzy i z burzą złotych loków, uśmiechała się promiennie. Trzymała w objęciach małą wymizerowaną dziewczynkę o smutnych oczach, która jednak także była uśmiechnięta. Na głowie miała czepeczek, żeby ukryć skutki chemioterapii.

- Dlaczego życie bywa takie smutne?

Sandra przełknęła ślinę.

- Kiedy załatwię wszystkie sprawy, przekażę darowiznę na fundusz badań nad białaczką dziecięcą.

- Bardzo słusznie. Jak poznałaś Nikki? - spytał, delikatnie odstawiając fotografię na miejsce.

- Byłam na ostatnim roku studiów, gdy moja koleżanka z medycyny spytała, czy chcę dołączyć do ich grupy. Odwiedzali chore dzieci w szpitalach, bawili się z nimi, czytali książki, śpiewali i grali na gitarze, byle tylko biedactwa mogły choć

na chwilę zapomnieć o cierpieniu. - Przerwała, żeby opanować wzruszenie. - Bardzo lubiły ze mną rozmawiać. Myślę, że to miało coś wspólnego z moim wyglądem. Miałam jasne włosy i niebieskie oczy. Pewien czteroletni chłopczyk spytał mojego przyjaciela Anthonyego, który zawsze przebierał się za klauna, czy jestem aniołem. Niektórzy nie wytrzymałi i odeszli z grupy, okazało się to dla nich zbyt trudne, ale ja nie mogłam tak postąpić. Tego dnia, gdy zrobiono zdjęcie, Anthony na moją prośbę obciął mi włosy, choć bardzo się przed tym wzdrygał. Trochę się we mnie podkochał. Robiliśmy zdjęcia, na przemian śmiejąc się i płacząc.

- Jaka miła pogawędka! - dobiegł ich sarkastyczny komentarz. - Od dawna nie słyszałem, żeby ktoś tak sobie gwarzył. Jakbyście sobie z dzióbeków spijali miód.

Daniel wzdrygnął się ze złością, ale pierwsza zareagowała Sandra:

- Nic dziwnego, Bernie. - Odwróciła się do kuzyna, który uśmiechał się z denerwującą wyższością. - Serdeczność to rzadki gość w naszej rodzinie, czy też zgoła zawsze nieobecny. Szukasz tu czegoś?

- Wolałbym, żebyś mówiła do mnie Berne - odparł z irytacją. - Nie jestem już dzieckiem.

- Dobrze, Berne. A może panie Bernardzie? - zakpiła w żywe oczy. - Właśnie pokazałam Danielowi jego pokój.

- A ten jest oczywiście twój.

- Zgadza się - odparła ze słodyczą w głosie. - Przecież wujek Lloyd zajął główną sypialnię.

- Dlaczego nie? W końcu jest prawowitym panem domu.

- Dziadek tak nie myślał. Jego testament, a więc prawo, inaczej stanowi.

- Bo od świtu do nocy naradzał się z Danielem. Wiecznie coś knuli. Zawsze wiedziałem...

- Daruj sobie, Berne - powiedział spokojnie Daniel. - Twoje uwagi są niezgodne z prawdą. Pan Kingston wiedział, że umiera.

- Powiedział ci?

- Tak, ale miałem zachować to w tajemnicy. Każdego wieczoru bał się, że nie doczeka ranka, lecz przecież trzeba było podejmować różne decyzje i zarządzać ranczem. Dlatego mieliśmy dużo tematów do rozmowy.

- Wciąż coś przed nami ukrywałeś! - wybuchnął Berne.

- Dlaczego dziadek tak cię faworyzował? Wyzaczył ci wysoką pensję, więc skąd jeszcze te ćwierć miliona dolarów?

- Z każdym słowem rosła jego wściekłość. - Czy to miał być posag? Mogłeś zażądać znacznie więcej.

- Lepiej już pójdę. - Daniel nie pozwolił się sprowokować. - Nie zamierzam słuchać takich bredni.

- Tak? - Czerwony ze złości Berne też ruszył ku drzwiom.

- A mnie się wydaje, że mówię prawdę. Pomyśl o tym, kuzynko. - Spojrzył na Sandrę, która obracała w palcach jakiś przedmiot z brązu, jakby miała ochotę nim rzucić. - Oczywiście on do niczego się nie przyzna. Która dziewczyna chciała-by uwierzyć, że kupiono dla niej męża?

- Nie sądzisz, że to byłby niezbyt mądry plan, Berne? Połowa małżeństw na świecie kończy się rozwodem. Poza tym naprawdę wyobrażasz sobie, że dziadek zdołałby zma-

nipulować Daniela i mnie? To tylko pytanie hipotetyczne, bo w twojej teorii nie ma ani ziarnka prawdy.

- No właśnie - przytaknął Daniel.

- Nie wierz mu, kuzynko. - Berne gratulował sobie w duchu, że udało mu się wbić klin między Sandrę i Daniela. - Czy dziadek nie lubił bawić się w Boga i ustawiać po swojemu ludzi?

- To prawda... - Czyżby była naiwna, ślepo ufając Danielowi?

- Sama widzisz. To wygląda na ukartowane małżeństwo. Daniel zacisnął pięści.

- Nie obchodzi mnie, co sobie myślisz, Berne, ale zaufanie panny Kingston jest dla mnie bardzo ważne.

- Nie musisz nazywać mnie panną Kingston, Daniel. Wiem, dlaczego nie chcesz mówić do mnie po imieniu przy rodzinie, ale te powody są dla mnie nieistotne. Potrzebuję twojej pomocy dlatego, że ci ufam. - Czuła, że ma ochotę się rozpłakać.

- To błąd. - Berne zmarszczył brwi. - Pochodzisz z rodziny Kingstonów i do ciebie należy ranczo. On jest tylko wynajętym pracownikiem.

- Bez którego nie moglibyśmy się obejść, Berne - ostro powiedziała Sandra. - Staraj się o tym nie zapominać. Natomiast jedyną osobą, która wiedziała, dlaczego dostałam ranczo, był dziadek, i tę prawdę zabrał z sobą do grobu. Myślę jednak, że chciał wynagrodzić mi krzywdę. Przecież i mnie, i matkę wyrzucił z Moondai.

- Założył wam fundusz powierniczy! - krzyknął Berne. -

Nie wyrzucił was na bruk. Dziadek nie chciał widzieć twojej matki, ale zadbał, żebyście miały z czego żyć.

Sandra zbladła jak papier.

- Kłamiesz!

- Słucham? - zdumiał się. - Przecież łatwo to udowodnić. Dziadek nie pozwolił wam umrzeć z głodu. Chodziłaś do najlepszych szkół. Wiem, że z dwóch cię wyrzucono. Potem studiowałaś na uniwersytecie. Myślisz, że skąd były na to pieniądze? Powiedz, skoro jesteś taka inteligentna.

Daniel przerwał mu, unosząc rękę.

- Czy matka nigdy ci o tym nie mówiła, Sandro?

- Miałam wtedy dziesięć lat. Zawsze żyło nam się dobrze. Matka twierdziła, że ma pieniądze ojca. Dlaczego miałabym jej nie wierzyć? Jej mężowie zawsze byli bogaci, ale ja pracowałam dorywczo, kiedy byłam na studiach, żeby nie być dla nikogo ciężarem. Nie wiedziałam, że dziadek wciąż się nami opiekuje.

- Tak było - odparł ponuro Berne.

- Matka powinna była ci o tym powiedzieć, Sandro - mruknął Daniel.

- Bezwstydną dziwka - wymamrotał Berne. - Nigdy nie mówiła prawdy. Nikt jej nie obchodził. Tata miał rację. Powinnaś się nad tym zastanowić, zamiast winić go bez przerwy.

- Nie waż się tak o niej mówić! Kocham moją matkę, Berne.

- To świetnie - parsknął. - Wiem, że można kogoś kochać i jednocześnie nienawidzić. Dlaczego dziadek zosta-

wił ranczo tobie, a nie mnie? Synowie i wnukowie zawsze mają pierwszeństwo.

- To tylko obyczaj z dawnych lat, obecnie prawo jest inne. - Spojrzała na niego z uwagą, a potem powiedziała wolno, dobitnie: - Dziadek kochał tę ziemię. To Kingstonowie sprawili, że Moondai jest kwitnącym ranczem, jednym z największych w Australii. I pewnie dziadek domyślał się, że ja jedyna z całej rodziny zrobię wszystko, by tak było nadal. Bo ty i twój ojciec natychmiast byście wystawili Moondai na licytację. Sprzedalibyście efekt ciężkiej pracy pokoleń Kingstonów... i groby naszych przodków.

- Ależ ty jesteś sentymentalna... - Berne uśmiechnął się ironicznie. - Oni nie żyją, Sandro. Odeszli w zaświaty i nic ich to nie obchodzi.

- Mnie obchodzi. Chcę być wierna moim przodkom, ojcu i dziadkowi, choć był dla nas tak surowy. Nigdy ich nie zdradzę.

- Jakie to cliwe - stwierdził z niesmakiem. - Może i skończyłaś studia, ale rozumu od tego nie nabrałaś zbyt wiele. Do diabła, przecież umarłych nie obchodzą nasze sprawy! A co do Daniela... - Spojrzał na niego spode łba. - To prawda, jest dobrym pracownikiem, ale sprytu mu też nie brakuje. Ubił z dziadkiem świetny interes. Dostanie Moondai razem z tobą. Interes życia, jednym słowem! Ale chcę cię ostrzec.

- Słucham, Berne - wycedził Daniel.

- Nie mówię do ciebie, tylko do kuzynki. - Nienawidził Daniela Carsona za to, że Rigby Kingston, który wzbudzał we wszystkich strach, darzył go taką sympatią, i za to, że Sandra tak łatwo dała mu się oczarować. - Niewiele wiemy

o tobie, prawda, Dan? Ktoś cię polecił, więc dziadek dał ci pracę. Tak, jesteś dobrym zarządcą, ale przy tym aż zżera cię ambicja. Warto by sprawdzić twoją przeszłość. Ludzie miewają dziwne tajemnice. Nie wiadomo na przykład, z jakiej pochodzisz rodziny. Sandra powinna się tym zająć.

- Nie sądzisz, że dziadek już to sprawdził? - Spojrzała na kuzyna.

Berne wzruszył ramionami.

- Dziadek to co innego. Nikt nie mógł nim rządzić. Widzę natomiast, że Daniel zdobył już nad tobą władzę. Będzie wesoło...

- Tak sądzisz, Berne? - spytała z niesmakiem, choć w głębi duszy czuła, że tak właśnie jest.

- A jak go traktujesz? - Ledwie hamował wściekłość. - Sprowadziłaś go do domu. Nawet za życia dziadka Daniel tu nie mieszkał. Tata nigdy by się na to nie zgodził. Daniel jest zarządcą rancza i powinien mieszkać w swoim bungalowu.

Zauważyła, że Daniel gwałtownie się poruszył. Szybko stanęła między nimi, żeby nie doszło do bójki, w której Berne nie miałyby żadnych szans.

- Powiedzmy, że chcę mieć go pod ręką, Berne. Wczoraj znaleźliśmy się w rozlewisku pełnym krokodyli. Danielowi udało się wylądować na polanie wielkości wanny. Jest mi bardzo przykro, ale nie mogę ufać własnej rodzinie. To jest gra o wielką stawkę. Muszę przyznać, że ty i wujek Lloyd zachowaliście się zgodnie z wolą dziadka, ale macie do mnie wielki żal, bo zostałam główną spadkobierczynią. Rozumiem waszą wściekłość, ale właśnie dlatego się boję. - Popatrzyła mu prosto w oczy. - Nie wiem, do czego jesteście zdolni. Z tego

właśnie powodu, co z kolei na pewno zrozumiesz ty, poprosiłam o pomoc Daniela.

- Jesteś bardzo głupia! - oświadczył z furją.

- A co bym zyskał, gdyby coś się stało Sandrze? - spytał groźnie Daniel.

- Jeszcze nie teraz - odparł Berne i obrócił się na pięcie.

Daniel ruszył za nim.

- Skoro mnie podejrzewasz, to dlaczego nie pójdziesz na policję?

- Proszę cię, Daniel. - Sandra schwyciła go za ramię, - Berne, matka zawsze mówiła, że ktoś specjalnie zepsuł helikopter, w którym się rozbił tata. To znaczy, że popełniono zbrodnię. - Nagle zrobiło jej się wstyd, bo choć Berne był wtedy złośliwym, zazdrosnym i kłótlwym chłopcem, to nie mógł mieć nic wspólnego z wypadkiem.

- Twoja matka plotła bzdury - wychrypiął biały jak płótno Berne. - To ostatnia osoba, której można ufać. Zresztą wujek Trevor wcale nie miał lecieć tym helikopterem, tylko dziadek. - Obrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

Sandra zaniemówiła z wrażenia.

- Czy to możliwe? - wyjąkała wreszcie - Słyszałeś o tym?

-Mój Boże, nie...

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Przez kilka następnych dni Sandra wciąż rozmyślała o rewelacjach ujawnionych przez Bernea. Czy naprawdę nie ojciec, tylko dziadek miał lecieć helikopterem tego feralnego dnia? Dziadek często wybierał się na inspekcje, bo lubił zniecka kontrolować pracowników. Czasem zabierał z sobą Trevora, którego szykował na swojego następcę. Nie wyglądało na to, żeby Berne kłamał. Jeśli tak było, to dlaczego matka nigdy o tym nie wspomniała?

Zadzwoiła do Pameli, ale gdy tylko poruszyła ten temat, matka oczywiście wpadła w histerię. To był jej sposób na to, by nie odpowiadać na niewygodne pytania. Powiedziała, że nic nie wie, a kiedy Sandra spytała, skąd pochodziły pieniądze potrzebne na ich utrzymanie po wyjeździe z Moondai, odparła, że nigdy nie rozmawiała z nią o kwestiach finansowych, bo to po prostu nie była jej sprawa. Rigby Kingston miał obowiązek zapewnić im obu utrzymanie. To był naprawdę wstrętny człowiek i dobrze, że już umarł.

- Sandro, uspokój się - zakończyła rozmowę. - Rancho należy się tobie, bo i tak twój ojciec by je odziedziczył. I proszę, przestań mnie wciągać w sprawy Kingstonów, bo

z tą rodziną nie chcę mieć nic wspólnego. Jesteś moją córką, ale na rym koniec. Mam własne kłopoty, bo Mickey zachorował na wietrzną ospę.

Ponieważ rozmowa z matką nic nie wyjaśniła, Daniel poradził Sandrze, żeby zapytała wujka. Jeśli Berne mówił prawdę, to możliwe, że ktoś usiłował pozbyć się dziadka. Rigby Kingston nie cieszył się popularnością w okolicy i wielu ludzi życzyło mu jak najgorzej. Ale jego młodszy syn nie brałby chyba udziału w spisku? Dziadek faworyzował Trevora, lecz choć wyśmiewał zainteresowania Lloyd'a, pozwalał mu na kontynuowanie botanicznej pasji. Rigby Kingston, który oschle traktował swoją rodzinę, był jednak szczodry i zapewniał wszystkim dostatek.

Trudno było rozwiązać tę zagadkę. Sandra nie mogła zaufać nikomu z najbliższej rodziny. Nawet Elsie, która poruszała się po domu jak zjawa. Co się stało z tą niegdyś przystojną i przedsiębiorczą kobietą? Nie miała w życiu szczęścia, lecz dlaczego wpadła w tak beznadziejny stan? Jakby zapadła się w studnię smutku i beznadziei. Oczywiście dziadek był apodyktyczny, ale kiedy Elsa wyszła za niego, ledwie przekroczyła czterdziestkę, była więc na tyle młoda, że zdołałaby ułożyć sobie nowe życie. Musieli się kochać, skoro zdecydowali się na ślub, dlaczego więc babka zamieniła się w bezwolną kukłę? To było prawdziwą zagadką. A teraz, gdy to nieudane małżeństwo wreszcie się skończyło, dlaczego Elsa nie próbuje odmienić na lepsze swego losu?

Na szczęście Sandra coraz lepiej orientowała się w prowadzeniu rancza. Daniel pracował od świtu do nocy, lecz spo-

tykali się codziennie w gabinecie przed kolacją, przeglądając stosy listów, faktur i dokumentów, które Andy Fallon przygotowywał dla nich do podpisu. Cieszyła się, że Daniel traktuje ją z szacunkiem, cierpliwie wyjaśniając powody podejmowanych decyzji. Sandra nigdy nie podejrzewała, że ma zdolności do prowadzenia interesów, ale zagadnienia ekonomiczno-finansowe okazały się bardzo interesujące.

- Dziadek zostawił ci jedno z najlepiej prosperujących rancz w Australii - powiedział Daniel. - Jesteś inteligentna i powinnaś wiedzieć, jak to wszystko działa.

W związku z tym po kolacji spotykali się na kilkugodzinne sesje. W trakcie posiłków Sandra, która nie znała gatunków wszystkich roślin występujących w okolicy, ale zawsze podziwiała cudowny ogród, jakim była bezbrzeżna pustynia, zaczęła wypytywać wujka o miejscową florę.

- Na miłość boską, nie zaczynaj tego tematu - ostrzegł ją Berne.

- Nie umiesz docenić piękna natury, Bernard - odparł ojciec, czując coraz większą sympatię do bratanicy. Już jako dziecko była bardzo bystra w przeciwieństwie do swojej nie najmądrzejszej matki.

Kiedy potrzebowała rady, zawsze zwracała się do Daniela. Starła się to robić zręcznie, żeby nie stawić go w krępującej sytuacji. Zdawała sobie sprawę, że jest już w nim zakochana, i być może tego właśnie pragnął dziadek, ale miała swoją dumę i im bardziej pragnęła jego towarzystwa, tym bardziej oficjalnie się zachowywała.

Co będzie za rok, kiedy na miejsce Daniela przyjdzie nowy zarządca?

Czasem zastanawiała się, czy Daniel nie zauważył, jaŁ na niego reaguje. Była czuła na kaÅde jego słowo, kaÅdy gest i spojrzenie, jakie rzucał w jej kierunku. Kiedy ich dŁo nie stykały się przy przekazywaniu dokumentów, zawsze przechodził ją dreszcz. Nie było co udawać, zakochała się po uszy. Zdumiona i przeraÅona, zastanawiała się, czy moÅe odziedziczyła jakaÅ nadwraÅliwość po matce. NadwraÅliwość, która nieodmiennie łączyła się z naiwnością i bezbronnością. Widziała zbyt wiele skrzywdzonych kobiet i nie chciała stać się jedną z nich.

Po sześciu tygodniach otrzymali pełny raport z awarii helikoptera nad rozlewiskiem.

Daniel stał przy oknie i zmarszczywszy brwi, czytał do kument..

- No i co? - spytała zniecierpliwiona Sandra.
- Nic specjalnego - odparł, zerkając na nią.
- Jesteś pewien?
- Oczywiście. Tu jest to samo co we wstępnym raporcie. Awaria maszyny niezwiązana z ludzkim błędem czy zanie dbaniem. Poza tym słowa uznania za zręczne pilotowanie śmigłowca.

- Nic nie znaleźli? - Sandra była zła i rozgoryczona.

Daniel westchnął.

- Nie denerwuj się. Najważniejsze, Åe wyszliśmy caŁo z tej katastrofy. Teraz, gdy mamy z powrotem helikopter, będę trzymać go pod kluczem. Przedtem nikt go nie pilnował.

- I nie będzie dalszych wyjaśnień? - spytała z niezadowolaniem.

- Nic więcej nie możemy zrobić.

W domu zjawiali się nieustannie goście - mieszkańcy rancza i biznesmeni z Alice Springs, którzy chcieli przywitać wnuczkę Rigby'ego Kingstona. Choć większość osób przyjeżdżała po to, by życzyć Sandrze powodzenia, nie brakowało także intrygantów, którzy chcieli wywąchać, co w trawie piszczy. W okolicy huczało od plotek, że Moon-dai będzie wystawione na sprzedaż. Zjawiali się różni kombinatorzy, a nawet potencjalni kandydaci na małżonków - niektórzy elegancy i pewni siebie, a inni zawstydzeni swoją rolą. Nie byli to prawdziwi łowcy fortun - wszyscy pochodzili z zacnych rodzin - lecz młodzi mężczyźni szukający odpowiedniej żony i matki dla swego potomstwa. Pozycja finansowa Sandry czyniła ją cenną kandydatką na małżonkę.

Panowała zgodna opinia, że Alexandra Kingston będzie wspaniałą żoną dla szczęśliwego wybranka.

- Wieści się rozeszły - powiedział zgryźliwie Daniel.

Siedzieli na płocie, obserwując stado właśnie złapanych dzikich koni.

- Jakie wieści? - Odwróciła się do niego tak szybko, że musiał ją przytrzymać, żeby nie spadła na ziemię.

- O twojej urodzie, panno Kingston. - Spojrzał na nią roześmianym wzrokiem.

- Jesteś w tym ekspertem? - spytała z przekąsem. Tak bardzo cierpiała, że nie wolno jej go nawet dotknąć. Tak bardzo pragnęła, żeby wziął ją w ramiona; Była naprawdę zakochana. Było to trudne i bolesne.

No i jeszcze ta cała Lana... Wśród gości, którzy przyje-

chali przywitać się z nią po powrocie, byli McAuliffeowie ze swą jedynaczką Alanną, atrakcyjną brunetką o pięknych brązowych oczach.

Po herbacie Alanna poprosiła, żeby Sandra pożyczyła jej dżipa, gdyż chciałyby pojechać do Daniela. Sandra po czuła zazdrość, choć kiedyś obiecywała sobie, że to uczucie będzie jej obce.

- Niedługo ma się odbyć bal. Daniel obiecał, że będzie moim partnerem. Zna tyle dziewcząt, więc się boję, żeby nie poszedł z kimś innym.

- Lana wprost oszalała na jego punkcie - wyjaśniła pani McAuliffe. - Daniel ma w sobie coś takiego, że wszystkie kobiety tracą głowę - dodała z rumieńcem na twarzy.

- Mamy nadzieję, że to się dobrze skończy - dorzucił pan McAuliffe.

Po moim trupie! - pomyślała wtedy Sandra.

Teraz zaś była dobra okazja, żeby dowiedzieć się, czy Daniel traktuje poważnie znajomość z Alanną.

- Ale z ciebie osa! - roześmiał się. - Na pewno wiedziałś, że wzbudzisz zainteresowanie wśród wszystkich kawalerów z Terytorium Północnego od młokosów po starszaków.

- Mam nadzieję, że rozgłosisz wszędzie, jaki mam wredny charakter - odcięła się.

Zdjęła kapelusz i odrzuciła głowę. Złote loki opadły na szyję. Jak szybko odrastały jej włosy! Miał ochotę dotknąć złocistej aureoli. Nic dziwnego, że dzieciaki w szpitalu brały ją za anioła. Nie była jednak słodkim stworzonkiem, miała w sobie mnóstwo zadziorności, choć czasem

potrafiła go rozczerzyć. Kobieta jak marzenie. Ale to marzenie nigdy się nie spełni.

Pora o tym zapomnieć.

- Temperament nie odstrasza mężczyzn - powiedziała. - Słodkie kobieciątka zwykle nie mają powodzenia.

- Co z pewnością nie dotyczy twojej przyjaciółki Alan - odparła zjadliwie. - Prawdziwy wulkan seksu. Idziesz z nią na bal?

Roześmiał się tak, że zrobiło jej się słabo.

- Niestety musiałem odmówić.

Spojrzała na niego, pragnąc dotknąć mocno zarysowanej brody.

- Zaskakujesz mnie, Daniel. Alanna mówiła, że jej obiecałeś. Powinieneś dotrzymać słowa.

- Niczego jej nie obiecywałem. - Gwizdnął na miotającego się konia z białą gwiazdką na czole. Koń nastawił uszu i natychmiast się uspokoił. - Ona myśli, że jeśli czegoś chce, to na pewno to dostanie.

- Myśli o tobie poważnie. Jej mama i tata powiedzieli to wyraźnie. Przypomnij jej, że pracujesz dla mnie.

- Tak, panno Kingston. - Jego oczy rozblęły. - I nie zamierzam zrezygnować.

- Lubię cię - powiedziała rozbrojona. - Co masz zamiar robić w przyszłości? Jesteś taki mądry i zdolny.

- No i popularny - dorzucił kpiąco. - Czy już chcesz się mnie pozbyć?

Gdyby nie bała się go wystraszyć, powiedziała mu, żeby został tu na zawsze.

- Prawdę mówiąc, jesteś mi coraz bardziej potrzebny.

Nie zrozum mnie źle, ale czy myślisz, że dziadek naprawdę mógł obmyślić jakiś plan?

Promień słońca zaiskrzył w jego oczach.

- Mówisz o nas?

- Dobrze wiemy, że nic by z tego nie wyszło. Zresztą i tak postanowiłam, że nie wyjdę za męża. Zastanawiam się jednak, dlaczego wszystko tak się ułożyło. W rozumowaniu Bernea nie brak logiki. Czy dziadek zakładał, że jeśli zbliży nas do siebie, to nastąpi jakiś cud? A może liczył na to, że połączy nas wspólny interes? Jesteś odpowiedzialny i masz taką klasę, że mógłbyś zająć miejsce dziadka.

- Klasę? - Skrzywił się. - Nie mam majątku ani dobrego pochodzenia. Jak dostanę pieniądze ze spadku po twoim dziadku, będę wreszcie mógł kupić jakieś małe ranczo i harować przez dwadzieścia lat, by stało się średnie... I wtedy może przestanę być człowiekiem znikąd. Poza tym nie studiowałem tak jak ty na uniwersytecie. Pewien dobry człowiek zatroszczył się, żebym ukończył jakąś szkołę. Pomagałby mi dalej, ale nie chciałem zaciągać większych długów.

- Czy to był Harry Cunningham z Channel Country?

- Zgadza się. Czego jeszcze dowiedziałaś się o mnie?

- Nie złość się. Vince Taylor mi powiedział - odparła beztrudno, choć to ona wzięła Vince'a na spytki. - Pan Cunningham musiał być bardzo dobrym człowiekiem.

- Wspaniałym.

- Oczywiście. Według mnie albo rodzimy się z klasą, albo nie, niezależnie od tego, skąd się wywodzimy. Ważne, że wiesz, kim jesteś, a nie kim był twój tata. Masz w sobie dobrą krew, Daniel.

- Tak, wprost znakomitą - mruknął.
- Oczywiście. Potrafiłbyś się znaleźć w absolutnie każdym towarzystwie.
- Twoja rodzina tak nie uważa. Twój wujek nie raczy nawet odezwać się do mnie przy kolacji.
- Nie rozumiesz? On boi się, że spytasz go o coś, na czym się nie zna. Czy on w ogóle coś wie o Moondai? Przez całe życie tu mieszka, ale nie ma pojęcia, jak się prowadzi rancho. Jego jedyna pasja to botanika.
- Tak... I należy to szanować - powiedział szczerze. - Botanika to wspaniała pasja. Podziwiamy przyrodę w kanionie, to cudowny obiekt badań. Twój wujek mógłby znaleźć prawdziwe szczęście... prawdziwy cel w życiu... gdyby potraktował poważnie swoje zainteresowania. To samo odnosi się do Bernea. A tak gorzknieją w niechęci do świata i ludzi, bo czują się niedowartościowani.
- Sami są sobie winni - przyznała ze smutkiem. - Myślą, że ich główną wadą jest lenistwo.
- Pewnie tak. Teraz niestety muszę już iść. Mamy dokonać selekcji byków.
- Ześlizgnął się z płotu i wyciągnął ku niej rękę.
- Och, nareszcie znajdzie się w jego ramionach i przytuli policzek do jego piersi.
- Złap mnie! - zawołała radośnie jak dziecko.
- Ale to nie dziecko znalazło się w jego objęciach, tylko cudowna i podniecająca kobieta. Złote loki uniosły się płynnie, odsłaniając zgrabną szyję. Aksamitne pełne usta rozchyliły się w uśmiechu, ale największe wrażenie zrobiły na Danielu błyszczące, błękitne jak laguna oczy.

Powinien mieć się na baczności. Sandra jest bogatą dziewczką, a on tylko zarządcą jej rancza. Wiedział jednak, że gdyby nikogo nie było w pobliżu, na pewno nie oparłby się pokusie, by przycisnąć usta do jej warg.

Była tak blisko. Czuł jej zapach i dotyk ciała. Zdawało mu się nawet, że czuje smak jej ust. Przeszył go dreszcz pożądania.

Co teraz będzie? - pomyślał z przerażeniem. Zupełnie stracił nad sobą kontrolę. Ale i on nie był z pewnością obojętny Sandrze. Widział jej rozpalony wzrok.

Tylko że nie wolno mu wciągać jej w pułapkę. Ufała mu i potrzebowała pomocy. Była tak młoda i niewinna, do tego nie miała wsparcia ze strony rodziny. Nie mógł wykorzystać jej zaufania tak jak ojczym, który zasługiwał na największą karę.

Teraz są przyjaciółmi, ale jeden fałszywy krok mógłby zepsuć wszystko. Nie mogą być kochankami. Cofnął się, opuścił ręce.

- Nieźle przytyłaś - rzucił, by obrócić wszystko w żart.

- Niedługo będę okrągła jak piłka.

Odwrócił się, by odejść.

- Czy możesz poświęcić mi jutro godzinę? - zawołała.

- Oczywiście. Jakiś szczególny powód? - Zatrzymał się w charakterystycznej pozie z rękoma opartymi na biodrach.

- Chcę nauczyć się jeździć na motorze.

Daniel był tak zaskoczony, jakby oznajmiła, że ma zamiar budować nową drogę buldożerem.

- Czy to dobry pomysł? - spytał z niepokojem.

- Jeśli się nie zgodzisz, poproszę Chrisa - odparła prowo-

kacyjnie. Chris Barrett był przystojnym chłopakiem, który przyjechał tu, by pracować przez rok na ranczu, a potem miał przenieść się do rodzinnej firmy budowlanej w Brisbane. Nieustannie próbował flirtować z Sandrą, nie zwracając uwagi na napomnienia ze strony starszych kolegów, że pozwala sobie na zbyt wiele.

- Chris sam ledwie sobie radzi na motorze - odburknął Daniel.

- Czy w takim razie mogę na ciebie liczyć?

- Dobrze.

- Chciałabym też umieć jeździć na buldożerze - rzuciła z kamienną miną.

- Nie ma mowy - odparł stanowczo. - Buldożer waży trzydzieści osiem ton. Kiedyś pozwolę ci pojeździć na traktorze.

- Dziękuję, Daniel. - Uśmiechnęła się promiennie. - Muszę się jeszcze dużo nauczyć. Chcę także latać helikopterem.

- Dlaczego nie? Ale przecież nie lubisz latać.

- Mam ku temu powody, jak wiesz. Spodobał mi się jednak lot z Darwin, oczywiście dopóki nie zdarzyła się awaria. Nie sądzisz, że najszybciej pozbędę się strachu, jeśli się nauczę latać?

- To prawda. Znam dobrego nauczyciela.

- To ty? - spytała z nadzieją w głosie.

- Nie, jak na belfra jestem zbyt nerwowy. - Uśmiechnął się. - Paddy Hyland ma szkołę pilotażu w Alice Springs. Jest bardzo miły i cierpliwy jak sam Hiob.

- Chcesz powiedzieć, że z kobietami trzeba się cackać?

- Nie, ale trochę łagodności nie zaszkodzi, Sandro.
- I cierpliwości Hioba?
- Jesteś bardzo pojętna. - Na jego policzku ukazał się uroczy dołeczek.
- Nie zauważyłaś wcześniej, jaka jestem bystra?
- Wszystko zauważyłem, Sandro - odparł takim tonem że znów zrobiło jej się słabo. - Miłego dnia! - Przyłoży dłoń do kapelusza. - Zobaczymy się wieczorem.
- Wieczorem? Chcę cię widzieć zawsze!

scandalous

ROZDZIAŁ ÓSMY

Od dziewiątej rano Sandra z uporem przeglądała stopy dokumentów. Była już jedenasta, gdy Meg przyniosła jej kubek kawy i świeżo upieczone bułeczki z jabłkami i cynamonem. Ponieważ Sandra doszła do wniosku, że Meg ma za dużo pracy, bo nie może liczyć na pomoc Elsy, zatrudniono dwie młode Aborygenki. Atmosfera od razu zrobiła się weselsza, bo w całym domu było słyhać ich zarazliwy śmiech.

Elsa przebywała przeważnie w swoim apartamencie - od lat nie dzieliła sypialni z dziadkiem Sandry - albo chodziła na długie spacery. Rodzinny cmentarz był ulubionym celem jej wędrówek, ale nie zносиła kwiatów na miejsce spoczynku męża. Sandra kazała posadzić tam biało kwitnące drzewa storczykowe, ale mimo to nad smutnym miejscem unosiła się melancholijna aura.

Wiedziona nagłym impulsem, postanowiła wybrać się na przejażdżkę, żeby obejrzeć nowo posadzone drzewa. Po drodze ułamała kilka gałęzi różowo kwitnących orchidei, żeby przyozdobić nimi grób ojca.

Przyjaciele ze studenckich czasów uważali, że australijska pustynia jest pozbawiona oznak życia. Oczywiście cza-

sem tak było, ale po deszczach pustkowia zamieniały się w prawdziwy raj. Czy jest gdzieś indziej na świecie ogród z dywanami białych, żółtych i różowych kwiatów, który sięga po horyzont? Moondai było najpiękniejszym miejscem na ziemi i pragnęła zostać tu na zawsze.

Zsiadła z konia i przywiązała go do starego eukaliptusa rosnącego przy bramie cmentarza. Poskręcany i powyginany od wiatru i palącego słońca pień drzewa wyglądał jak rzeźba.

Duże stado szmaragdowo-złotych papug przeleciało nad jej głową w poszukiwaniu najbliższego źródła wody. Z naręczem kwiatów weszła na cmentarz. Drzewa storczykowe dumnie prezentowały srebrzystozielone liście, które wcale nie przywiędły. Choć już przekwitły, we wrześniu lub październiku znów wypuszczają różowe, białe, fioletowe i jasnoczerwone kwiaty. Aborygeni uważali, że w tych drzewach zamieszkują duchy przodków, dlatego według Sandry powinny rosnąć tu, gdzie spoczywają kości wielu pokoleń Kingstonów.

Przystanąła nad grobem dziadka i babci Catherine, po czym przeszła w kierunku grobu ojca. Małżeństwo jej rodziców nie układało się najlepiej, bo matka nigdy nie zamieszkała na ranchu, ale wiedziała, że jej mąż Trevor bardzo kocha ich córeczkę. Zawsze twierdziła, że Lloyd Kingston jest podły, choć Sandra jakoś nie zdołała tego zauważyć. Może matka chciała się zemścić za to, że wujek krytykował jej styl życia? Sandrze przyszło do głowy, że jej wujek i kuzyn przez całe życie starali się na próżno zdobyć miłość i aprobatę dziadka. Może dlatego byli nastawieni

do niej niechętnie, bo dziadek, który najpierw ją wypędził, potem uczynił z niej główną spadkobierczynię?

Gdyby coś jej się stało, wujek Lloyd odziedziczyłby całą posiadłość.

Godzinę później Daniel mijał cmentarz i zobaczył Sandrę, która siedziała samotnie na kamiennej ławce.

- Sandra - powiedział cicho.

Znów wyglądała jak prześliczny kwiat i była niedostępna jak marzenie.

Kiedy zbliżył się, zobaczył ślady łez na jej policzkach.

- Usiądź przy mnie - poprosiła.

- Nie przeszkadzam? - Wpatrywał się w jej wzruszający profil.

-Ależ skąd. - Uśmiechnęła się. - Właśnie rozmawiałam z tatą.

- Czy on ci odpowiada? - Zdjął kapelusz.

- Czasem tak. - Przetarła dłonią oczy. - Bardzo chciałabym wiedzieć, co się stało, Daniel. Nie mogę uwierzyć, że wujek Lloyd przyczynił się do śmierci ojca.

- Nigdy w to nie wierzyłem. - Zerknął na naręcze orchidei. - Nie byłby zdolny do tak haniebných czynów. Twoja matka oskarżała go, bo chciała się zemścić za to, że ją wyrzucono z domu. Wiedziała, że wujek Lloyd nią gardzi i nie mogła tego dłużej znieść.

- A więc to był wypadek?

- Tak wykazało śledztwo.

- A ja przez tyle lat wierzyłam w kłamstwa?

- Niektórzy ludzie przez całe życie w nie wierzą.

- A nasz wypadek? Podejrzewałeś coś, Daniel.

Wzruszył ramionami, nie chcąc, by znów czuła się zagrożona.

- Wypadki się zdarzają. Pospieszyłem się z opinią.

- Ale nie jesteś całkiem przekonany. - Spojrzała mu w oczy.

- Pieniądze zawsze wzbudzają emocje. A twój majątek jest ogromny.

To jest nasz majątek! - miała ochotę krzyknąć, lecz Daniel był zbyt dumny i niezależny, żeby przyjąć takie słowa.

- Pieniądze i namiętności idą w parze. Gniew, żal, wstyd, ambicje.

- Moja rodzina zaspokoiłaby swoje ambicje, gdybym nie doczekała dwudziestych pierwszych urodzin.

- Które będą już niebawem. - Ogarnął wzrokiem perfekcyjny owal jej twarzy. Sandra nabrała nieco ciała i z dziewczyny zamieniła się w pełną uroku kobietę. - Muszę pomyśleć o prezencie. A propos, w poniedziałek lecę do Darwin. Joel Moreland chce się ze mną widzieć.

Sandrze zabiło mocniej serce.

- Joel Moreland, człowiek, który zamienia wszystko, czego się dotknie, w złoto? Chyba nie zostawisz nas dla niego? - spytała w panice.

- Hej, on tylko chce się ze mną spotkać. - Miał ochotę przytulić ją do siebie, uspokoić. - To spotkanie załatwił Bill Morrissey, który jest członkiem administracji Terytorium Północnego,

- Wiem. Słyszałam o nim. Po co taki człowiek jak Moreland miałby się z tobą spotkać, jeśli nie w celu złożenia propozycji pracy?

- Możliwe. - Potrząsnął głową. - Muszę myśleć o przyszłości, Sandro. Za niecały rok skończy się mój kontrakt, a ty albo sprzedasz Moondai, albo zaręczysz się z jednym z tych młodych ranczerów, których pojawia się tu cała chmara. Nie myśl, że nie mają na oku Moondai i uroczej właścicielki.

- Dziękuję, Daniel - odparła szorstko.

- Nie miałem zamiaru cię obrazić, Sandro. Jesteś urocza, ale za spadek pokochają cię jeszcze bardziej.

- Rozumiem cię aż nadto dobrze - rzuciła cierpko. - A może mam się cieszyć, że mnie w ogóle chcą?

- Próbowałem tylko cię ostrzec, że niełatwo być dzie-dziczką.

- Nie martw się. Sam będziesz egzaminować tego szczęś-ciarza.

Zrobiło mu się bardzo przykro, choć oczywiście powiedziała to żartem. Splótł ręce z tyłu głowy.

- Chciałem cię spytać, czy wybierzesz się ze mną do Darwin. Spotkanie potrwa około dwóch godzin, a ty w tym czasie mogłabyś zrobić zakupy czy pójść do galerii. A najlepiej, gdybyś przy okazji poznała Morelanda. Nie wiadomo, czy kiedyś nie przyda ci się jego pomoc.

- Na pewno, skoro zamierzasz stąd wyjechać! - wybuchnęła. Tak naprawdę miała ochotę rzucić się mu na szyję i błagać, żeby został.

- A myślałaś, że jak to się skończy? - spytał, walcząc z emocjami. Do głowy by mu nie przyszło, że mógłby zakochać się w Sandrze.

- Sama nie wiem. Po tym wypadku traktowałam cię jak

przyjaciela i obrońcę, a nie zarządcę rancza, którym oczywiście jesteś.

- Taka jest prawda, Sandro. Należymy do dwóch różnych światów.

- Do jednego świata! - Przeszyła go wzrokiem.

- Nie rób tego, Sandro.

Jej policzki poczerwieniały ze złości.

- Czego?

- Wiesz, o czym mówię.

- Próbujesz mi pokazać, gdzie jest moje miejsce? - spytała, z trudem łapiąc oddech.

- Nie miałem zamiaru. - Podniósł się z ławki. - Ale ja wiem, gdzie jest moje.

- Chcesz uciec! Tchórz!

- Po prostu musisz mnie zrozumieć.

- Nie rozumiem! - Łzy napłynęły jej do oczu. Czuła się zawstydzona i poniżona.

Serce waliło mu jak młot. Czy Sandra wie, ile kosztuje go ten pozorny spokój? Jej łzy doprowadziły go do ostateczności.

Chwytał ją w ramiona i zaczął żarliwie całować. Piękno i słodycz Sandry były nagrodą, której nigdy nie zdobędzie. Powinien już ją puścić, ale wciąż było mu za mało.

Może tylko raz w życiu jest mu dane ją całować. A gdyby poddał się temu uczuciu i uległ zniewalającemu pożądaniu?

Sandra zajęczała. No tak, chce, żeby ją puścił. Położyła ręce na jego piersi, ale nie miała siły go odepchnąć.

Natychmiast oprzytomniał przerażony własną siłą.

- Przepraszam, Sandro. - Z nadludzkim wysiłkiem wypuścił ją z objęć. - Teraz wiesz, że jestem taki sam jak inni.

Potrząsnęła głową, zdumiona tym, co zaszło.

- To ja cię sprowokowałam, Daniel.

- Próbowałem cię ostrzec, że może do tego dojść. Za nic w świecie nie chciałyby cię skrzywdzić.

- Wiem, ale twoje zasady nie pozwalają ci przyznać, że coś do mnie czujesz, prawda?

- Wiesz, że to niemożliwe.

Wyciągnęła do niego rękę.

- Czym się tak przejmujesz? Ranczem, moimi pieniędzmi? Czym?

- To ogromny majątek, Sandro. Będziesz jedną z najbogatszych kobiet w kraju.

- A więc dzieli nas ten spadek?

- Nie mogę tego zignorować. Jesteś taka młoda. Poznasz jeszcze wielu mężczyzn, którzy pochodzą z dobrych rodzin. Znajdziesz kogoś, komu będziesz mogła zaufać i kto poprowadzi z tobą ranczo. Musisz tylko trochę poczekać.

- Czy ty nie zasługujesz na szacunek?

Daniel westchnął.

- Gdybyś była zwykłą dziewczyną...

- To co byś zrobiła? - spytała zaczepnie.

- Ale nie jesteś!

- A gdybym zrezygnowała z majątku?

- Wykluczone. - Zmarszczył groźnie brwi. - Prowadzenie rancza to twój obowiązek. Dziadek wiedział, dlaczego ci zostawia Moondai. Chcesz mieć ranczo, prawda?

- Nie, jeśli to oznacza, że cię stracę.

Poczuł się jak w siódmym niebie... i natychmiast powróciły wątpliwości.

- Nie powinienem być cię całować...

- To prawda - odparła z goryczą - bo teraz jestem całkiem pewna.

- Nie możesz być niczego pewna, Sandro. O Boże, masz dopiero dwadzieścia lat. Może tak samo przeżywałabyś pocałunek z kimś innym.

- Wolę zapomnieć, że to powiedziałeś, Daniel. Przyznaję, i niech to pozostanie między nami, że jestem jeszcze dziewicą, ale wiele razy się całowałam. Nigdy nie było tak jak teraz.

On też nigdy nie czuł się tak z żadną dziewczyną, ale przecież miał bronić tej kobiety, a nie ją uwodzić.

- Powinnaś się opanować, Sandro. Masz jeszcze dużo czasu.

Ale ja już wiem! - krzyknęła w duchu, skrywając uśmiech.

- Przyrzekasz, że nie wyjedziesz stąd przed upływem kontraktu?

- Wyjadę, dopiero gdy będziesz mogła dać sobie radę beze mnie. Chcę twego dobra, Sandro.

- Ale oczekujesz propozycji od Joela Morelanda?

- Nie wiem, dlaczego chce się ze mną spotkać.

- Nie bądź taki skromny. Na pewno słyszał wiele dobrze o tobie. Wszyscy, którzy tu przyjeżdżają, bez przerwy cię chwala. Zmieniłeś nie do poznania ranczo Harryego Cunninghama. Dziadek był bardzo wymagający, ale zawsze darzył cię szacunkiem. Nie jesteś nikim, Daniel.

- Nie jestem też łowcą posagów - wypalił bez ogródek.
- Znów to samo... Naprawdę myślisz, że ludzie wzięli-
by cię na języki?

- Na pewno.

- No dobrze. - Machnęła nonszalancko ręką. - Posłucham twojej rady. Nie będę się spieszyć i rozejrzę się wśród kawalerów z dobrych rodzin. Jeden w drugiego atrakcyjni, bogaci, świetnie urodzeni, no i aroganczy jak Berne. Nikt inny nie będzie mnie interesować. Zgadzam się na wyjazd do Darwin. Przedstawisz mnie Joelowi Morelandowi. Jesteś zadowolony?

Zsunął kapelusz na czoło.

- Oczywiście, panno Kingston. - Ruszył przed siebie.

Nigdy wcześniej nie widział Joela Morelanda, ale miał wrażenie, że spotkał dobrego znajomego.

- Pomyślałem, że powinniśmy się poznać, Daniel - powiedział Moreland z uśmiechem, wyciągając rękę.

- Bardzo mi miło. - Wymienili uścisk dłoni.

Moreland przyglądał mu się z zainteresowaniem. Ten wysoki, postawny siwowłosy mężczyzna o klasycznych rysach twarzy od pierwszej chwili wzbudzał zaufanie i szacunek. Ubrany z niedbałą elegancją, wyglądał jeszcze bardziej nobliwie niż na zdjęciach w prasie.

Mimo ogromnej wiedzy i inteligencji, nie było w nim ani krzty wyniosłości czy arogancji. Daniel zastanawiał się, czym zasłużył sobie na takie zainteresowanie ze strony tak znanego polityka, przecież nigdy nie dążył do tego, by zbliżyć się do kręgów władzy.

Lunch upłynął w bardzo miłej atmosferze. Moreland i Morrissey przyjaźnili się od dawna i czuli się swobodnie w swoim towarzystwie. Rozmowa dotyczyła gospodar-ki i przyszłości Terytorium Północnego, ale w którymś momencie zeszła na temat Moondai.

- Alexandra Kingston nie zamierza chyba sprzedać ran-
cza? - powiedział Moreland.

- Jest pan zainteresowany kupnem? - z miejsca spytał Daniel.

Zabrzmiało to agresywnie, ale Moreland uśmiechnął się szczerze.

- Wręcz odwrotnie, cieszę się, że pragnie zatrzymać Moondai. Dobrze znałem jej dziadka. To straszne, co się stało z Trevorem. Ojciec Alexandry przyjaźnił się z moim synem. Niestety on też już nie żyje... Rigby zgorzkniał po śmierci Trevora. Bardzo chciałbym poznać jego wnuczkę.

Daniel wspominał wcześniej, że Sandra jest w Darwin i pragnęłaby poznać Joela Morelanda.

Po głównym daniu Bill Morrissey przeprosił, że musi już opuścić towarzystwo z powodu ważnego spotkania z ministrem.

Daniel spodziewał się, że lada chwila usłyszy propozycję pracy z ust Morelanda. Widać było, że znany polityk jest niezwykle zainteresowany jego osobą, co oczywiście bardzo mu pochlebiało.

- Nie wiem, jak zacząć - powiedział niepewnie Moreland. - Wiele o tobie słyszałem. Czy podejrzewasz, dlaczego chciałem się z tobą spotkać?

- Może po to, by zaproponować mi pracę? - Uśmiechnął się.

- Och, w każdej chwili, ale nie taki jest powód naszego spotkania. Chodzi o twoją rodzinę.

Uśmiech momentalnie zniknął z twarzy Daniela.

- Nie mam rodziny, panie Moreland. Moja matka nie żyje i nie mam pojęcia, kto był moim ojcem. Matka zachowała to w sekrecie.

- Nie martw się, synu. - Moreland wyciągnął rękę i poklepał Daniela po ramieniu. - Wiem, jakie nieszczęście zdarzyło się twojej matce. Wydaje mi się jednak, że możesz być spokrewniony ze mną.

Srebrzystoszare oczy Daniela rozbłyśły, jakby usłyszał okrutny żart.

- To niemożliwe, proszę pana.

- Tak mi się zdaje - odparł drżącym głosem, potem opuścił głowę. - Czasem poczucie winy dotyka zupełnie niewinnych ludzi. Dopiero niedawno dowiedziałem się od bratowej, że mój syn miał dziecko. Czy możesz sobie wyobrazić, jaki przeżyłem szok?!

Spojrzenie Daniela zamieniło się w lód.

- Z jakiej przyczyny pana bratowa wyznała to dopiero teraz? Przecież pana syn zmarł wiele lat temu.

- Dokładnie dwadzieścia osiem... - Moreland ciężko westchnął. - Moja żona zmarła osiem miesięcy temu. Nigdy nie pogodziła się z utratą syna. Mam jeszcze córkę i wspaniałą wnuczkę Cecile, które mieszkają w Melbourne. Niestety nie mam następcy, odkąd zabrakło Jareda. Zawsze uważaliśmy z Rigbym, że nasze losy ułożyły się podobnie.

Ja straciłem Jareda, a on Trevora. Oczywiście wiem, że jest jeszcze Lloyd i jego syn, ale Rigby nie chciał zostawić im Moondai.

- Tak mówił?

- Nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi, bo Rigby miał dość trudny charakter, ale łączyła nas jakaś więź. Rigby martwił się, co zrobić, żeby ranczo nie podupadło po jego śmierci.

Daniel wyprostował się niespokojnie.

- Mam nadzieję, że nie brał mnie pod uwagę w swoich planach.

Moreland rozłożył ręce.

- Kto wie? Jego wnuczka nie dałaby rady sama prowadzić rancza. Choć jesteś młody, zdobyłeś jego zaufanie. To wielki sukces. Kiedy widziałem go ostatni raz przed śmiercią, dużo o tobie opowiadał. Niestety nie byłem na jego pogrzebie, bo musiałem polecieć w sprawach służbowych do Pekinu.

- Jak pan to rozumie, jeśli wolno mi spytać, panie Moreland?

- Rigby chciał, żeby wnuczka wyszła dobrze za męża. Nie mówię o majątku, tylko o człowieku, który potrafiłby kierować ranczem.

- To zrozumiałe, tylko że ja nie zgodziłbym się na taki plan - stanowczo oświadczył Daniel.

- Nie chciałbyś poślubić kobiety, która wniesie w posagu jedno z najlepiej prosperujących rancz w Australii?

- Nie, panie Moreland - wycedził. - Nie jestem łowcą posagów.

- Oczywiście, że nie. Proszę mi wybaczyć, jeśli tak to za-

brzmiało... i nie mówmy już o Kingstonach. Chciałbym, żebyś spojrział na to. - Wyjął zdjęcie z górnej kieszeni marynarki. - Poznajesz tę młodą kobietę?

- O co chodzi? - spytał ze ściśniętym gardłem. Na zdjęciu była dziewczyna o wielkich smutnych oczach. - To moja matka.

- Jak się nazywała? - spytał Moreland.

- Annie Carson.

Moreland ponuro pokiwał głową.

- Johanna Carson pod koniec lat siedemdziesiątych przez półtora roku była naszą pokojówką.

- To ktoś inny - powiedział Daniel. - Moja matka urodziła się w Anglii. Kiedy była mała, przyjechała do Australii ze swoją ciotką. Jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Ciotka wychowywała ją, dopóki nie wyszła za mąż. Matka nie lubiła tego człowieka i wcześniej rozpoczęła samodzielne życie. Nigdy nie wyjeżdżała z Queenslandu, bo nie było jej stać na podróż. Na pewno nie była w Terytorium Północnym. To pomyłka.

Moreland zaczął, aż Daniel skończy mówić, i wyjął jeszcze jedno zdjęcie.

- Spójrz na to.

- Przykro mi, ale nie mam ochoty już nic oglądać.

- Proszę cię, chłopcze. Właśnie dlatego chciałem się z tobą spotkać.

- No dobrze, ale... - Daniel urwał w pół zdania, bo Moreland nagle zmienił się na twarzy. - Wszystko w porządku? Jest pan taki blady. Może pan coś wypije?

- Brandy... poproszę brandy... - Kiedy kelner na pole-

cenie Daniela podał trunek, Moreland wypił, a potem powiedział: - Już lepiej... To niełatwe dla nas obu, chłopcze, ale musimy przez to przejść.

Uspokojony Daniel spojrział na drugą, znacznie nowszą fotografię.

Przyglądał się młodej kobiecie, która miała bardzo podobne do niego rysy twarzy.

- Kto to jest? - spytał z niepokojem.

Moreland spojrział na niego łagodnie.

- Moja wnuczka Cecile.

- Śliczna. Ile ma lat?

- Dwadzieścia cztery - uśmiechnął się Moreland. - Pojechała do Szkocji na ślub przyjaciółki, która wychodzi za jakiegoś arystokratę.

- Jej życie ułożyło się zupełnie inaczej niż moje - powiedział z goryczą Daniel.

Moreland pochylił się ku niemu.

- Czy zgodzisz się na badanie krwi? - spytał łagodnie.

Daniel gwałtownie potrząsnął głową.

- Przykro mi, ale nie. Jakie to może mieć teraz znaczenie? Moja matka była bardzo nieszczęśliwa, ale już nie żyje. Mam nadzieję, że w niebie zaznała spokoju... - Spojrział na Morelanda i powiedział dobitnie: - Nie obchodzi mnie, kim był mój ojciec, skoro porzucił kobietę, którą uwiódł, i wyrzekł się syna.

- A może nie wiedział o twoim istnieniu? - Moreland uśmiechnął się ze smutkiem. - Może twoja matka nie miała jak poinformować go o ciąży?

- Tak czy inaczej - powiedział ochrypłym głosem Da-

niel - myślę, że powinniśmy skończyć tę rozmowę, która dla nas obu nie jest łatwa. Przeszłości nie można zmienić.

- Ale można zbudować nową przyszłość - odparł z nadzieją w głosie Moreland.

Zniecierpliwiony Daniel odwrócił głowę i wtedy zauważył Sandrę. Krew zapulsowała mu w żyłach. Jego ukochana, niezwykle piękna w nowym letnim kostiumie, z uśmiechem na twarzy zmierzała ku nim.

- Oto Sandra - powiedział cicho. - Czy czuje się pan na tyle dobrze, żeby z nami chwilę porozmawiać?

Moreland uśmiechnął się.

- Wszystko w porządku. Mój lekarz twierdzi, że dożyję setki. Mam nadzieję, że przemyślisz wszystko i kiedyś jeszcze wrócimy do tej rozmowy, a tymczasem schowaj te zdjęcia.

Daniel spełnił prośbę.

Wstali, by przywitać się z Sandrą.

- Chyba spotkaliśmy się już wcześniej, panie Moreland - powiedziała, gdy usiedli przy stoliku. - Może kiedy byłam małą.

- Na pewno pamiętałbym to, Sandro - oświadczył zachwycony jej urodą Moreland.

- W takim razie uwierzę w reinkarnację. - Roześmiała się.

Moreland w zamyśleniu gładził brodę.

- Nie byłabyś jedyną osobą, która wierzy w takie rzeczy. Znam twego wujka i kuzyna, ale zawsze chciałem poznać córkę Trevora i wnuczkę Rigbyego. Może odwiedziłabyś nas kiedyś z Danielem?

- Och, bardzo chętnie. Dziękuję. - Pytająco spojrzała na zamyślnego Daniela.

Rozmawiali jeszcze przez dziesięć minut, po czym odprowadzili Morelanda do eleganckiego bentleya, który czekał na niego przed wejściem do restauracji.

- Ma pan taki sam dołeczek na lewym policzku jak Daniel - zauważyła ze zdumieniem Sandra. Daniel właśnie odwrócił się, by przywitać się z kimś znajomym. - I srebrzystoszare oczy. To rzadko spotykany kolor. Czy to możliwe, żebyście byli spokrewnieni?

- Kobiety wciąż mnie zdumiewają. - Wziął ją za rękę.

Mieli nie tylko podobne oczy i dołeczek na policzku, ale i emanowali tym samym urokiem.

- Nie zapomnij o moim zaproszeniu - poprosił, wsiadając do samochodu.

- Na pewno nie - odparła. Jakie to dziwne, że przy nim, podobnie jak przy Danielu, czuła się tak bezpiecznie. - Czy w tym tkwi jakaś tajemnica? - spytała, nie przestając myśleć o dziwnym podobieństwie.

- Musimy sobie jeszcze to i owo wyjaśnić, Sandro - odparł wymijająco Moreland.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Nie jesteś głodna? - spytał Daniel, gdy Bentley Morelanda już odjechał.

- Bez przerwy byś mnie karmił. - Roześmiała się. - Czy mi się zdaje, że się czymś martwisz? - spytała, biorąc go za rękę. Przecież byli przyjaciółmi, nawet jeśli nie chciał się zgodzić, żeby łączyło ich coś więcej.

- Jesteś spostrzegawcza. - Uśmiechnął się krzywo.

- Czy to ma coś wspólnego z Joelem Morelandem? Może wypijemy kawę nad zatoką? Tu jest tak pięknie. Ta ciemnoturkusowa woda jest cudowna.

- Jak sobie życzysz.

Kiedy usiedli w kawiarni z widokiem na morze, Sandra zamówiła cappuccino i kanapkę, a Daniel kawę z ekspresu.

- Powiedz, o czym rozmawialiście z Morelandem - poprosiła, nie mogąc się doczekać, kiedy się wszystkiego dowie.

- Nie wiesz? - Zajrzał jej w oczy.

- Zauważyłam między wami podobieństwo.

- Tak? To widzisz więcej niż ja.

- Joel Moreland ma siwe włosy, ale jestem pewna, że kiedyś były tak czarne jak twoje. Obaj macie dołeczki na le-

wym policzku i niezwykle srebrzystoszare oczy. To rzadko spotykany kolor.

Szybko przełknął łyk gorącej kawy.

- On chce, żebym zrobił test DNA.

- O Boże! - Z wrażenia odłożyła kanapkę. - A więc to poważna sprawa.

- Nie będę robić żadnych testów, Sandro - oświadczył stanowczo.

- To twoja decyzja - odparła łagodnie. - Nikt nie ma prawa czegokolwiek ci sugerować.

- Sam nie wiem, co robić. - Miał ochotę wziąć ją za rękę. Bliskość tej kobiety sprawiała, że nie czuł się samotny.

- Jednak Joel Moreland jest chyba pewny, że jesteście spokrewnieni.

- Co z tego... To jest dla mnie bez znaczenia.

- Nie możesz wybaczyć, że ojciec zostawił twoją matkę w ciąży.

- A ty byś wybaczyła?

- Nie - stwierdziła ze złością. - Tego nie da się wybaczyć. - Przegarnęła ręką włosy. - Jeśli naprawdę jesteście spokrewnieni, to twój ojciec był synem Morelanda. Miał na imię Jared, tak?

Jego oczy rozbłysły.

- Spójrz na to - powiedział, podając Sandrze fotografię matki. - To zdjęcie Johanny Carson, która pracowała u Morelandów pod koniec lat siedemdziesiątych - powiedział z napięciem. - Moja matka nazywała się Annie Carson.

Sandra długo wpatrywała się w starą fotografię.

- Przecież poznałbyś własną matkę.

- To ona... Zawsze jej wierzyłem, ale teraz nie wiem, czy to, co mówiła, było prawdą.

- To kwestia zaufania, Daniel. Może miała ważne powody, by kłamać? - odparła łagodnie, a potem dodała z ledwie wyczuwalną goryczą: - Moja matka też zmyślała różne bajki. I też miała swoje powody...

- No cóż - westchnął. - Spójrz teraz na to. - Wręczył Sandrze drugą fotografię.

Młoda piękna kobieta na zdjęciu była bliźniaczo podobna do Daniela.

- Niesamowite! Kto to jest?

- Cecile, wnuczka Morelanda.

- Mój Boże... Dlaczego właśnie dziś pokazał ci te zdjęcia? Cecile wygląda jak twoja siostra bliźniaczka. O co tu chodzi, Daniel?

- A skąd, do diabła, mam wiedzieć? - wybuchnął, tracąc kontrolę.

- Dlaczego dopiero teraz zaczęli cię szukać?

- Właśnie.

- Może Jared Moreland zginął, nie wiedząc o twoich rodzinach? A może twoja matka i on chcieli się pobrać, tylko nie zdążyli?

Daniel uśmiechnął się ponuro.

- Moja matka pracowała u nich jako pokojówka. Moreland był bogatym i wpływowym człowiekiem. Nie sądzę, żeby aprobował taki związek.

- Lubię go - odparła z roziskrzonym wzrokiem. - To bardzo miły i serdeczny człowiek. Nie chcę myśleć o nim źle. Ty chyba także.

- To prawda... Podobno bratowa dopiero teraz powiedziała mu, że Jared miał syna.

- Wiem, że znasz się na ludziach. Czy mu wierzysz, Daniel?

- Spodobał mi się. Od pierwszej chwili miałem wrażenie, że znam go od dawna. Był zdenerwowany, w pewnej chwili zbladł jak papier. Wydawało mi się, że ma dobre zamiary. O Boże! Sam już nie wiem, Sandro. - Spojrzył na wielkie jachty kołyszące się w zatoce. - Nawet jeśli jest moim dziadkiem, to nie pasuję do jego świata. Nie może nagle zjawiać się i żądać, żebym zrobił to, co chce. Nie poddam się żadnym testom DNA. Teraz ani nigdy! Jestem, kim jestem, i nie mam zamiaru ubiegać się o to, by stać się nieślubnym potomkiem Joela Morelanda. Jestem sobą! - wyrzucił gniewnie.

- Czy mogę coś dodać? - spytała nieśmiało.

- Nie mieszaj się do tego, Sandro.

- Bardzo mi przykro, ale już jestem w to wmieszana. Wiem, że nie wolno mi wpływać na twoje decyzje w tak delikatnej sprawie, ale... ale może pan Moreland próbuje mi ciebie zabrać? Nic z tego. Jesteś mój, dopóki nie skończy się kontrakt. Chyba że masz już mnie dosyć.

Jego twarz złagodniała.

- Nie mógłbym mieć lepszej szefowej - odparł z szerokim uśmiechem.

- Ty jesteś szefem. Ja się tylko uczę.

-I nie marnujesz czasu. Jesteś bardzo bystra, panno Kingston.

- Czy zgodzisz się, żeby pan Moreland wyjaśnił tę sprawę? - nie ustępowała. - Prosił, żebyśmy go odwiedzili.

Spojrzał na nią przeciągle.

- Pojadę z tobą, gdzie zechcesz, ale jeszcze raz proszę, nie mieszaj się do tego, Sandro. Jeśli Joel Moreland sądzi, że przyjmie mnie do swojej rodziny, oczywiście po testach DNA, to jest już za późno.

- Czy możesz mnie teraz wysłuchać? - spytała, chwytając go za rękę.

- Nie - odparł groźnie. - Nie owinesz mnie tak łatwo wokół palca. Zjedz kanapkę. Zamówię świeżą kawę, bo ta już wystygła.

Słońce unosiło się coraz wyżej. Ciszę panującą w buszu przerywały wesołe okrzyki błękitnoskrzydłych kukabur siedzących na gałęziach eukaliptusów rosnących nad rzeką. Majestatyczne drzewa tworzyły wspaniałą korytarz zieleni wzdłuż Jirra Jarra Creek. Całe drzewa były oblepione chmurą ptactwa: wyżej gnieździły się kruki, jastrzębie, sowy i sroki, a nawet wielkie orły. Na niższych gałęziach papugi, kokabury chichotliwe i sroki, a w dziuplach i szparach nietoperze, oposy i gady. Nawet opadłe liście i gałęzie stanowiły siedlisko małych gadów i insektów. Nigdzie na świecie nie ma tyle jaszczurek co w Australii, a najpiękniejsze mieszkają właśnie tutaj na pustyni.

Aborygeni twierdzili, że ciemnozielone wody Jirra Jarra Creek posiadają lecznicze właściwości nie tylko dla ciała, ale i dla ducha. Kiedyś Sandra często pływała i bawiła się tutaj z Berne'em i innymi dziećmi. Trzymając się długiej liny przywiązanej do gałęzi eukaliptusa, przeskakiwali nad strumieniem, udając Tarzana i Jane. Święte wody niewiele

pomogły Bernebwi i Sandra była pewna, że byłoby lepiej, gdyby opuścił ranczo. Wujek Lloyd stał się znacznie przyjemniejszy, gdyż spodobało mu się zainteresowanie bratanicy botaniką. Wybierał się właśnie na kolejną wycieczkę w odległy zakątek zachodniej Australii, znany z przebogatej roślinności. Człowiek, który kochał rośliny i kwiaty, nie mógł być do końca zły. Tragiczna katastrofa, w której zginął ojciec Sandry, na pewno była nieszczęśliwym wypadkiem, za który można obwiniać tylko los.

Sandra siedziała nad rzeką, rozmyślając o swym życiu. Daniel miał problemy tak samo jak ona. Ostatnie wydarzenia wyprowadziły go z równowagi. Nic dziwnego, że miał żal do ojca. Dobrze wiedziała, co to znaczy być niechcianym dzieckiem.

Nagle idylliczną ciszę zakłócił warkot motoru i na horyzoncie pojawił się Chris Barrett.

- Jeden z chłopaków powiedział mi, że na pewno cię tu znajdę - oznajmił, zsiadając z motoru i uśmiechając się beczelnie.

- Coś takiego! Dlaczego teraz nie pracujesz?

- Daj spokój! - Machnął ręką. - Od rana ganiałem za szalonym koniem.

- Oczywiście uciekł?

- No tak. Popędził na złamanie karku. Czy mogę się na chwilę przysiąść?

- Proszę - odparła, wrzucając kamyczek do rzeki. - Pewnie nie możesz się doczekać powrotu do domu?

Roześmiał się.

- Tak i nie. Dobrze się tu bawię. Dan to fantastyczny fa-

cet. Jest młody, ale wszyscy się z nim liczą. Zawsze bronił mnie przed twoim dziadkiem. Pan Kingston nie raz już chciał mnie odesłać. Nie mam ochoty wracać do nudnego domu. Przyzwyczailem się do przestrzeni, do ciekawszego życia. Mam tu kolegów. - Spojrzał na nią z niepokojem. - Chyba nie sprzedasz Moondai, co?

- Raczej nie - powiedziała, spoglądając na motor. - Wiesz, że nauczyłam się już jeździć?

- No, no! - Uśmiechnął się. - Może mi pokażesz?

- Innym razem.

- A może cię przewiozę? - zaproponował szybko.

- Czemu nie - odparła z zawadiackim uśmiechem. - Ale nie za daleko i nie pędź jak wariat.

Chris przewrócił oczami.

- Nie mam zamiaru cię straszyć. Daniel by mnie zabił. Tylko nie piśnij mu o tym ani słowa.

Po południu Berne zjawił się w obozie Five-Mile, gdzie tego dnia pracował Daniel.

- Ten dureń Barrett spadł nad rzeką z motoru! - krzyknął z daleka do Daniela.

- Nic mu się nie stało? - spytał zaniepokojony Daniel.

- Złamał rękę - stwierdził obojętnie. - Jest z nim Sandra.

- Chyba nie jechała z nim?!

- Wiesz, jaka jest Sandra - odparł z satysfakcją Berne.

- Jako dzieciak lubiła wariować i tak jej zostało.

- Nic sobie nie złamała? - przeraził się Daniel.

- Nie denerwuj się. Nabiła sobie parę guzów i to wszystko.

- Pojadę z tobą - powiedział Daniel, wsiadając szybko

do samochodu Bernea. - Mówiłem Chrisowi, żeby nigdy jej nie woził.

- W takim razie będzie miał kłopoty. Od pierwszego dnia nie podobał mu się ten zarozumiały cwaniak.

- Jesteś na mnie wściekły - powiedziała Sandra, ujrzawszy Daniela.

- Zgadza się. - Przykucnął obok niej, sprawdzając puls. Jej twarz była bardzo blada, ale nie było na niej potu. - Nie kręci ci się w głowie, nie masz mdłości? - Chris nie zabawi już długo na ranczu.

Sandra była niespokojna o los Chrisa. Oczywiście zasłużył sobie na nauczkę, ale żałowała go.

- Nic mi nie jest.

- Miałaś szczęście - rzucił szorstko. - A ty jak się czujesz, Chris?

- Okropnie - wymamrotał z popielatą z bólu twarzą..

- Oj, bo się rozpłaczę! - zapiszczał Berne.

- Zamknij się, Bernie. - Sandra zgromiła go wzrokiem, a potem spojrzała na Daniela. - Usztywniłam mu rękę, jak mogłam.

- Dobrze. - Spojrzał na kapelusze i zwiniętą bluzę, z czego powstał prowizoryczny usztywniający opatrunek.

Bluza należała do Sandry, która miała na sobie niebieski podkoszulek, pod którym rysowały się delikatne piersi.

- Musimy zawieźć cię do szpitala, Chris - powiedział Daniel. - Możesz normalnie oddychać, nie czujesz połamanych żeber?

- Nie... Przepraszam, Daniel.
- Porozmawiamy o tym później. Musisz zrobić przeświecenie. Berne, pomożesz mi położyć go na tylnym siedzeniu? To będzie trochę boleć, Chris.
- Zasłużyłem na to. Za bardzo się popisywałem.
- Ostrzegałem cię. - Daniel odwrócił się do Sandry. - Czekaj tu na mnie. Przeżyłaś szok, masz również na ramieniu ranę.
- Nic mnie nie boli. - Spojrzała na rękę.
- Masz szczęście - powiedział Berne. - Facet z Gregory Downs spadł wczoraj z motoru i się zabił.
- Daruj sobie te opowieści. - Daniel zmarszczył brwi.
- I tak mnie nie słucha, bo najważniejszy jest Chris.
- Trudno było nie przyznać mu racji.

Chris został przewieziony do szpitala, gdzie stwierdzono, że faktycznie ma złamaną rękę.

- Dlaczego to zrobiłaś? - spytał Daniel, wypijając łyk zimnego piwa.

Słońce już zaszło. Siedzieli z Sandrą na werandzie. Wszystko wokół pogrążone było w różowofioletowej poświacie. Na niebie rozbłyskały pierwsze gwiazdy.

- Widocznie jestem nierozsądna. Masz prawo się na mnie złościć.

- Bardziej jestem zły na Chrisa. Mówiłem mu, żeby nie woził cię na motorze.

- Lubisz wszystkim rozkazywać?

- Nie, ale jako zarządca rancza jestem odpowiedzialny za pracowników, Sandro. Kiedyś mnie zastąpisz. Zabroni-

łem Chrisowi cię wozić, bo nie mam do niego zaufania. Jest nieodpowiedzialny i lubi się popisywać. Nie mieliście na głowach kasków, a to wbrew przepisom. Tu są niebezpieczne tereny, a nie gładka szosa. Co by było, gdybyś uderzyła się w głowę? Albo on? Matka Chrisa bardzo się zdenerwowała, gdy zawiadomiłem ją o wypadku.

- Wiem, że zrobiliśmy źle, Daniel. Przepraszam. To się nie powtórzy.

- Na pewno nie. Kiedy Chris wyzdrowieje, od razu wróci do domu.

Wyprostowała się w leżaku.

- Co ty sobie wyobrażasz?

Daniel wysączył piwo i odstawił szklanę.

- Decyduję o wszystkim, chyba że chcesz mnie zwolnić.

- Czy to ultimatum?

- Tak - odparł bez wahania. - Na razie ja tu rządzę. Jestem odpowiedzialny za wszystkich pracowników, a także za ogólne bezpieczeństwo na terenie rancza, a więc i za twoje bezpieczeństwo. Nie mam nic przeciwko temu, żebyś jeździła w kasku na motorze, ale nie z Chrisem, bo on chce się wysaleć, nim wróci do domu pod kuratelę ojca. Nie odpowiedziałas jeszcze na moje pytanie.

- Jakie pytanie? - Nie mogła się pozbyć Daniela, bo zbyt wiele dla niej znaczył.

- Czy zgadzasz się, żebym kierował ranczem tak, jak uznam to za stosowne?

- Masz jeszcze jakieś pytania?

- Jak się czujesz? - spytał łagodniejszym tonem.

- Martwię się, że cię zawiodłam, Daniel.

- Przestraszyłem się, bo ten wariat mógł was oboje zabić. Berne powiedział prawdę. W Gregory Downs zdarzył się śmiertelny wypadek. Chyba nie muszę ci mówić, że życie tu jest niebezpieczne.

-Zgadzam się na wszystko, jeśli mnie kochasz. - Uśmiechnęła się. - Ale jeśli nie, to możesz się czuć zwolniony.

Spojrzał na nią z rozbawieniem. Z zabandażowaną ręką spoczywała na leżaku, a jej włosy w świetle lampy połyskiwały złotą aureolą. Nigdy się na nią nie napatrzy. Nigdy!

- To szantaż - powiedział ochrypłym głosem.

- Jak uważasz, Daniel.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Lloyd Kingston poprosił, żeby Daniel lub Berne zawiózł go samolotem do Perth, stolicy przyległego stanu, ponieważ chciał odwiedzić przyjaciela, znanego botanika profesora Erika Steinera, który miał mu towarzyszyć w wyprawie przyrodniczej. Ponieważ Daniel był bardzo zajęty, postanowiono, że zawiezie go Berne.

- Chciałbym tam pobyc przez tydzień - bąknął Berne.
- Mam w Perth wielu przyjaciół.
 - Musisz spytać Daniela, czy przez cały tydzień nie będzie potrzebować samolotu - odparła Sandra. - Jeśli się zgodzi, to w porządku. Mamy co prawda helikopter, ale nigdy nie wiadomo, czy nie będzie trzeba lecieć samolotem.
 - Dobrze - zgodził się Berne. - Daniel wszystkim rządzi, prawda? - dodał niemal ze smutkiem.
 - Tak. Czyżbyś chciał zarządzać ranczem?
 - Nigdy!
 - A co chciałbyś robić?
 - Lubię latać. Jestem dobrym pilotem. Spytaj Daniela. Może nie takim jak on, ale dobrym. Chciałbym latać na odrzutowcu dookoła świata.
- To dlaczego nie chcesz skończyć studiów? Jesteś jesz-

cze młody. Masz pieniądze na to, żeby się utrzymać w trakcie nauki. Na razie nie myśl o odrzutowcach, tylko załóż firmę czarterową. Elsa mogłaby ci w tym pomóc. Ona i jej mąż byli pionierami w zakładaniu takich firm.

Bernie zastanawiał się przez chwilę.

- Wiesz, że ona ma licencję pilota? W ogóle dobrze zna się na samolotach. Elsa jest bardzo tajemnicza. Nie wiadomo, dlaczego woli uchodzić za stukniętą staruszkę. Tata mówi, że odbiło jej, kiedy Trevor się zabił.

Sandra spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Oczywiście wiem, że miała firmę czarterową, ale nie słyszałam, że potrafi latać cessną.

- Potrafi. Nie wiesz jeszcze wielu rzeczy, kuzynko. Skąd miałabyś wiedzieć, jeśli wyjechałaś stąd jako małe dziecko. Twoja matka postarała się, żebyś uznała mojego ojca za diabła. Nie wyobrażasz sobie, jak przeżywał to, że ktoś nazywa go mordercą brata. Zrobiłaby wszystko, żeby tata poszedł do więzienia. Nic dziwnego, że jej nienawidzi.

Sandra czuła, że Berne ma rację.

- My wszyscy - powiedziała - ja, ty, wujek Lloyd i Elsa przeżyliśmy trudne czasy. Elsa nie wyszła za mąż dla pieniędzy i pomyśl, jakie spotkało ją rozczarowanie. Jednak mimo wszystko nie powinna tak się zmienić. To dla mnie prawdziwa zagadka. - Przerwała na chwilę. - Muszę ci powiedzieć, Berne, że chciałabym się z tobą zaprzyjaźnić.

- Naprawdę? - ucieszył się. - Zawsze się kłóciliśmy. Oczywiście dlatego, że byłem o ciebie zazdrosny. Wszyscy cię faworyzowali.

- Do czasu, Berne, do czasu. Oboje byliśmy nieszczęśliwi, bo brakowało nam uczucia. Ale teraz nie musisz być o mnie zazdrosny. Możesz ułożyć sobie życie, jak tylko masz na to ochotę. Zostań zawodowym pilotem. To co, zgoda?

- Zgoda. - Uścisnął jej rękę. - Lepiej mieć cię po swojej stronie, Sandro.

- Tak myślę. - Uśmiechnęła się.

Nareszcie była w domu sama z Danielem! Sandra nie mogła uwierzyć własnemu szczęściu. Elsa i Meg oczywiście nie wyjechały, ale były pochłonięte własnymi sprawami.

W połowie tygodnia zdarzyło się coś dziwnego. Sandra zbudziła się, bo zdawało jej się, że ktoś zakradł się do jej sypialni. Słyszała delikatny chrobot. Poderwała się na łóżku, próbując dostrzec coś w ciemności.

- Kto tam jest?! - zawołała, szukając lampy.

Wystraszona zapaliła światło i rozejrzała się. Wszystko wyglądało normalnie. Chyba coś się jej przyśniło. Zaczęła się uspokajać. Na zegarku była trzecia. Nagle zapragnęła pobiec do sypialni Daniela i przytulić się do niego.

- To ja, Sandra - powie mu, a on zbudzi się, zacznie ją całować, a potem...

Tylko że wcale by tak nie było. Nagle zawstydziła się swych myśli. Daniel kazałby jej natychmiast wracać do pokoju. Nie pozwoliłby, żeby do czegoś między nimi doszło, a już szczególnie w jej domu. Miał opory, jakby wszędzie wisiały tabliczki „Nie dotykać”. To głupota, pomyślała, przecież oboje tego chcemy. Widziała, jak Daniel wodzi za nią wzrokiem.

Trzeba sprawdzić drzwi.

Na pewno zamknęła je na klucz. Nawet gdy Daniel był w domu, zawsze zamykała się od wewnątrz. Nie przejmowała się, że to wygląda tak, jakby nie miała zaufania do rodziny. Wprawdzie opowieści matki okazały się kłamstwem, ale...

Wyślizgnęła się z łóżka i podeszła na palcach do drzwi. Nasłuchiwała przez chwilę. Cisza.

Kiedy była na środku pokoju, zobaczyła coś błyszczącego na dywanie. Schyliła się i podniosła sześć zielonych koralików. Zachwiała się, jakby ktoś wymierzył jej cios w brzuch. Następny koralik leżał blisko drzwi. Komu zerwał się naszyjnik? Sandra sprawdziła gałkę przy drzwiach. Zamknięte. Jak w takim razie intruz tu wszedł?

Może przez werandę? Białe drzwi z szybkami na końcu skrzydła były jak zwykle zamknięte. Któregoś dnia zauważyła na nich skrawek materiału, ale zignorowała to, myśląc, że Meg albo któraś z dziewcząt zahaczyła spódnicą o szybkę.

Kiedy dingo zawył żałośnie na pustyni, uznała, że wystarczy. Wybiegła na korytarz. Drzwi pokoju Daniela nie były zamknięte na klucz.

- Zbudź się! - zawołała. Coś wielkiego zagradzało jej drogę. Och, to cholerne krzesło! Zakląła głośno, łapiąc się za nogę. - Daniel!

- Co się stało? - Zerwał się na równe nogi, włączył światło i zobaczył Sandrę w cieniutkiej koszuli nocnej. Stała bosa, zaciskając coś w dłoni. - Co tu robisz? Czy wiesz, która jest godzina?

- Czy to ważne? - Spojrzała na niego z oburzeniem. Da-

niel wyglądał jak z reklamy szortów Calvina Kleina. Tylko to miał na sobie.

- Potrzebuję paru godzin snu.
- Obiecałeś, że będziesz mnie pilnował.

Zrobiła krok w jego stronę, lecz Daniel odskoczył jak oparzony.

- Co ci jest? - spytała, marszcząc brwi. - Czy ja gryzę?
- Pozwolisz, że się ubiorę, Sandro?
- Jeśli to konieczne - wycedziła przez zęby.
- Tak. - Szybko wciągnął dżinsy. - Nie chciałbym cię krytykować, w końcu jesteś moją szefową, ale czego sobie życzysz?

- Do diabła, na pewno nie seksu! Nie bój się, nie jestem aż tak głupia, by ryzykować, że utracę twoją przyjaźń - rzuciła zjadliwie. - Chodzi o to, że przed chwilą ktoś był w moim pokoju.

- Żartujesz! - Czuł się jak we śnie. Ale to była jawa. Sandra stała w jego sypialni w przezroczystej krótkiej koszulce z potarganymi loczkami na głowie i oczami błyszczącymi jak szafiry.

- Zobacz, co znalazłam na podłodze.

Stała tak blisko, że serce podskoczyło mu z wrażenia. Była drobniutka, ale siła jej seksapilu mogła powalić każdego mężczyznę.

- Pokaż. To jadeit albo nefryt. - Wpatrywał się w małe oliwkowozielone koraliki. - Maorysi i Chińczycy uważają te kamienie za talizman.

- Nie przyniosłam tu ich na handel - rzuciła cierpko.

Pyskata ślicznotka!

- W takim razie idziemy do ciebie. Może przy okazji coś na siebie włożysz.

- Kto by pomyślał, że musisz się przede mną bronić - mruknęła po chwili, wkładając żółtą jedwabną suknię. - No, lepiej ci teraz? - spytała kwaśno, demonstracyjnie zawiązując pasek.

- Milutka jesteś. - Rozejrzał się, marszcząc brwi. - Gdzie były te koraliki?

- Na podłodze. Obudziłam się przestraszona, że ktoś tu jest. Wydawało mi się, że słyszę chrobot. Wiedziałam, że drzwi są zamknięte. Myślałam, że coś mi się przyśniło i wtedy zobaczyłam te koraliki. Na pewno tu ich nie było, kiedy kładłam się spać. Ktoś był w moim pokoju, Daniel.

- Mogłaś wcześniej ich nie zauważyć, bo ten kolor zlewa się z dywanem.

- To dlaczego na nie nie nadepnęłam? Jeden leżał tuż przy drzwiach.

- Drzwi były zamknięte?

-Tak.

- W domu są tylko cztery osoby: ty, ja, Elsa i Meg. No i dziewczęta, ale one na pewno by się nie wygłupiały. Mnie też możesz wyłączyć.

- Z powodu przysięgi? - Spojrzała na niego wyzywająco, marszcząc brwi.

- Jakiej przysięgi?

- Tej, którą złożyłeś w dniu, w którym się poznaliśmy. „Obiecuję sobie, że nie tknę jej palcem”.

- Skąd o tym wiesz? - spytał sucho.

- To bez sensu, Daniel.
- Naprawdę? Nie zwykłem napastować niewinnych pa-nienek. Zastanówmy się lepiej, kto mógł być u ciebie. Tyl-ko Elsa, Meg albo jakiś duch. Może Elsa albo Meg jest lu-natyczką. To się zdarza.
- Raz na milion - fuknęła. - Nie wymyślaj bajek, Daniel.
- Zaczekaj. - Zawahał się, po czym wyszedł na werandę. Ruszyła za nim.
- Parę dni temu znalazłam skrawek materiału przycze-piony do odryglowanych drzwi.
- To nic nie znaczy. Przecież Meg mogła się zaczepić su-kienką. Wracaj do łóżka, Sandro. Zostawię światło w holu i nie zamknę swoich drzwi. Nic ci się nie stanie.
- Już się stało - burknęła.
- Musimy poczekać do rana. Meg nigdy nie zrobiłaby ci krzywdy. Elsa także bardzo cię lubi.
- Bo wie, że jest mi jej żal. Ale ona jest taka dziwna... ta-ka posępna. - Ciarki przeszły jej po plecach. - Czy mogę cię o coś spytać?
- Tak?
- Masz koraliki z jadeitu?
- Co za pomysł!
- Tak tylko przyszło mi do głowy. - Zaśmiała się. - Zo-staniesz ze mną, Daniel? - Nagle zapragnęła się z nim po-drażnić. - Mam takie wielkie łóżko, że nie będziemy wcale się dotykać.
- To niemożliwe, Sandro.
- Przepraszam. Wiem, że marudzę. - Zdjęła suknię i rzuciła ją na drążek przytrzymujący baldachim łóżka.

- Nie wstydzisz się pokazywać własnego ciała, co? -
Czuł, jak rozpala się w nim płomień.

- Nie jestem modelką - odparła cierpko. - Co tu pokazywać?

- Chyba zwariowałeś!

Poczuła się dotknięta do żywego. Ze złością uderzyła Daniela pięścią w pierś.

- Jak śmiesz tak do mnie mówić!

- Wystarczy! - wycedził przez zęby. Wziął ją pod ramię i rzucił na łóżko.

- Daniel! - zawołała ze zdumieniem.

- Przestań ze mną igrać...

- Dobrze, dobrze. Przepraszam. Nie chciałam cię zdenewrować.

- Ale tak się stało! - Wciąż nie mógł się uspokoić.

- Chodź do mnie - poprosiła, a kiedy usiadł obok, położyła dłoń na jego piersi. - Daniel! - szepnęła cicho, przytulając się do niego.

- Mała czarownica! - Pokręcił głową. - Powinnaś mnie bić, żebym się do ciebie nie zbliżał. - Przytulił ją mocno, wdychając jej zapach. Tak pragnął mieć Sandrę blisko siebie. Pochylił głowę, żeby ją pocałować. Jego usta dotknęły jej warg. Gładził jej ramiona i całował delikatny biust. Zamknęła oczy, lecz jej powieki drgały z rozkoszy.

Zaraz przekroczy granicę. To był ostatni moment, żeby się wycofać.

Czyż nie chciał być jej kochankiem? Jedyнным kochankiem? Czy nie o tym marzył?

- Daniel! - jęknęła.

Szybko odzyskał przytomność. Do diabła, co on robi? Chce wykorzystać dziewczynę, którą miał się opiekować?

Puścił ją tak nagle, że osunęła się z łóżka na podłogę.

- Sandra! - Podniósł ją i delikatnie ułożył na łóżku. - Bardzo mi przykro.

- Wcale nie! Jesteś troglodytą!

- To przez ciebie. Zaczarowałaś mnie.

- Naprawdę tak myślisz, Daniel?

- Idę - powiedział, widząc, że Sandra zaczyna coś obmyślać. - Nic nie rozumiesz? W ostatniej chwili powstrzymałem się, żeby cię nie zgwałcić.

- Z tobą jestem gotowa na wszystko, Daniel - powiedziała cicho, z czułością. - Nigdy nie sądziłam, że się zakocham. Myślałam nawet, że nie pozwolę zbliżyć się do siebie żadnemu mężczyźnie. To taki uraz z dzieciństwa...

- Tak? - Nie wiedział, jak ma się oprzeć tej cudownej dziewczynie. - W takim razie wiedz - wycedził przez zęby - że ja też cię pożądam, Sandro.

- No to wynoś się z mojego pokoju! - krzyknęła.

- Dobrze, już idę. - Przejechał dłonią, odgarniając włosy z twarzy. - Zaraz będzie świtać, ale drzwi do mojego pokoju będą otwarte. Nie wyjdę rano z domu, dopóki nie wyjaśni się, co się naprawdę stało.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Zasnęła kamiennym snem. Rano Meg zbudziła ją, by poinformować, że Elsa gdzieś zniknęła. Daniel wysłał już grupę mężczyzn na poszukiwania.

- Elsa starzeje się - powiedziała Meg, mnąc nerwowo rąbek białego fartucha. - Nie chce iść do lekarza, choć często dokucza jej serce. Pewnie zauważyłaś, że wiecznie błądzi gdzieś myślami.

- Tak, oczywiście - odparła Sandra. - Lubi chodzić na cmentarz. Mam nadzieję, że Daniel kogoś tam pošle.

- Nie wiem, czy lubi... Raczej coś ją tam gna. Bez przerwy tam chodzi. Mam bardzo złe przeczucia.

Sandra ubrała się szybko, a gdy wychodziła z pokoju, dostrzegła szarą kopertę leżącą na stole komody.

Koperta była zaadresowana do niej.

O Boże! Od razu wiedziała, że to musi być od Elsy. Zrobiło jej się słabo, więc opadła na krzesło. To Elsa była w jej pokoju i pogubiła koraliki. Elsa, która porusza się po domu jak duch.

Wyjęła z koperty list i z mieszaniną przerażenia i zdumienia przeczytała ostatnie wyznanie Elsy:

Moja droga Alexandro!

Nie mogę już tak dłużej żyć. Wiem, że mnie znienawidzisz, kiedy poznasz prawdę. Zasluguję na to. To ja jestem winna śmierci twego ojca, choć Trevor był ostatnim człowiekiem, którego chciałabym skrzywdzić. Zawsze był dla mnie dobry tak samo jak ty. To mój mąż, a Twój dziadek, zasługiwał na karę. Pragnęłam miłości, lecz otrzymałam pogardę. Nie mogłam znieść bólu i poniżenia. Rigby nigdy mnie nie kochał, bo nie byłam jego uwielbianą Catherine. Mój pierwszy mąż bardzo mnie skrzywdził, a twój dziadek sprawił, że straciłam chęć do życia. To on miał lecieć tego dnia helikopterem, lecz w ostatniej chwili zmienił plany i wysłał Trevora. Wiedziałam, co zrobić, żeby helikopter się roztrzaskał. Zrobiłam to bez skrupułów, ale wtedy byłam inna. Wyrzuty sumienia sprawiły, że straciłam zdrowie. Bardzo cierpiałam za swą zbrodnię, Alexandro. Ale wszystko ma swój koniec. Rozsyp moje prochy daleko od Moondai, daleko od dziadka. Może nad oceanem. Zawsze czułam się tu obco. Nigdy nie chciałam skrzywdzić Twojego ojca. Wiele razy chodziłam na jego grób, prosząc o przebaczenie. Ale nie ma dla mnie wybaczenia. To na pewno nie jest koniec moich cierpień. Nie ma ucieczki.

Elsa

Lloyd i Trevor wrócili do Moondai natychmiast po otrzymaniu wiadomości o śmierci Elsy. Oficjalnie podano, że przyczyną zgonu wdowy po Rigbym Kingstonie był atak serca. W prasowej notce napisano: „Gdyby pani Kingston zgłosiła się do szpitala, mogłaby przeżyć, ale nie powiada-

mając bliskich o złym stanie zdrowia, wyruszyła na długi spacer i na wszelki ratunek było za późno".

Sandra nie wiedziała, czy Elsa celowo spowodowała swoją śmierć. Może to nie było samobójstwo, tylko rozpaczliwa ucieczka starej kobiety, którą dręczyły wyrzuty sumienia? Lecz dokąd mogła uciekać? Na pewno nie tam, gdzie czekało ją nowe życie... Szła więc ku śmierci, świadoma wiekustej kary za straszny grzech.

Sandra nie potrafiła jej znienawidzić. Ta tragedia przerażała wszelkie zrozumiałe pojęcia, wymykała się spod jednoznacznego osądu. Los wielokrotnie zdrwił z Elsy. Dwaj mężczyźni, którym zawierzyła swe serce, straszliwie ją skrzywdzili. Rozpacz pchnęła ją do morderstwa, lecz zginął nie jej dręczyciel, tylko ktoś inny, ktoś, kogo lubiła i szanowała, może nawet kochała jak syna...

Sandra długo się wahała, uznała jednak, że nie może ukrywać listu Elsy przed rodziną. Mieli prawo poznać prawdę.

- Biedna Elsa - powiedział obojętnie Lloyd. - Od dnia katastrofy zaczęła chorować. Ale sama była sobie winna.
- Spojrzał łagodnie na bratanicę. - Mój ojciec nie potrafił pielegnować neurotycznej kobiety. To nie leżało w jego naturze. Ale to pierwszy mąż zszarpał jej nerwy. Przynajmniej ja nie jestem niczemu winny - dodał ironicznie.
- Powiedz, że mi wybaczasz, wujku - poprosiła Sandra.
- Nie mam ci co wybaczać. - Poklepał ją po ramieniu.
- Byłaś wtedy dzieckiem i po prostu uwierzyłaś matce. Napisz do niej o tym, co się stało?
- Nie, wuju. To był sekret Elsy, a mama chyba nie zacho-

wa tajemnicy. Nie powinniśmy tego rozgłaszać, bo zrobi się skandal. Elsa nie żyje. Wszystko minęło.

- Czy Daniel wie? - spytał Berne.

- Nie musimy się niczego obawiać ze strony Daniela.

- Mimo wszystko...

- Zostaw go mnie - powiedziała Sandra.

- W takim razie nie ma już o czym dyskutować. Dla świata jesteśmy pogrążeni w smutku, choć ja specjalnie nie rozpaczam - powiedział Lloyd Kingston.

- Żał mi jej. Miała straszne życie... Chciała, żeby jej prochy rozrzuciono nad oceanem.

- Zajmę się tym - powiedział Lloyd. - W końcu była moją macochą, choć raczej się tym nie przejmowała. Szalona kobieta. Wracam do Perth. Berne może polecieć ze mną. Podobno chce zostać zawodowym pilotem.

- Tak. - Berne uśmiechnął się do Sandry.

- W takim razie powodzenia, chłopcze. Musisz jeszcze wiele się nauczyć.

- Wiem o tym.

Ceremonia pogrzebowa odbyła się w Darwin. Wszyscy współczuli rodzinie, która w tak krótkim czasie straciła dwoje bliskich.

Po wyjściu z kościoła znajomi składali Kingstonom kondolencje.

- Joel Moreland idzie do nas z jakąś elegancką starszą damą - szepnął Daniel do Sandry, która, mimo rozejmu zawartego z rodziną, wołała trzymać się jego boku. - Założę się, że ta pani to jego bratowa.

Rzeczywiście tak było. Choć Helen Moreland starała się panować nad sobą, omal nie rozpłakała się na widok Daniela.

- Już dobrze, Helen - powiedział Moreland, biorąc ją za rękę.

- Po prostu nie mogę uwierzyć... On wygląda tak samo jak ty, gdy byłeś młody.

- Jeśli można, pani Moreland, to wolałbym nie rozmawiać na ten temat - powiedział cicho Daniel.

Helen położyła rękę na jego ramieniu.

- Musimy o tym porozmawiać, mój drogi. Oczywiście nie tutaj, ale powinieneś wysłuchać, co mam ci do powiedzenia. Proszę...

- Może u nas w domu? - zaproponował Joel Moreland, zerkając na Sandrę jak na sprzymierzeńca.

- Przykro mi, ale nie - odparł stanowczo Daniel.

- Może powinieneś się zgodzić, Daniel. - Sandra wiedziała już, że sekrety potrafią ciążyć jak ołów.

- Proszę cię, Daniel. - Helen spojrzała na niego błagalnie. - Czy wiesz, że Joel otrzymał na chrzcie imiona Daniel Joel, ale ponieważ ojciec także miał na imię Daniel, to żeby uniknąć pomyłek, mówiono do niego Joel? Jared miał na drugie imię Joel.

- Do czego pani zmierza, pani Moreland? - spytał.

- Może wpadniemy do państwa trochę później - wtrąciła Sandra. - Na pewno każdy taksówkarz będzie wiedzieć, gdzie pan mieszka.

- Jak sobie życzysz. - Joel Moreland skłonił głowę. - Mogę też przysłać po was swojego szofera.

- Wygląda na to, że nie mam wyboru - rzucił ironicznie Daniel

- To wszystko dla ciebie, mój drogi - powiedziała Helen cicho.

- W takim razie za godzinę, panie Moreland. - Sandra wzięła pod rękę Daniela.

- Jak sobie życzysz, moja droga - powiedział z uśmiechem Joel.

- Nie chcesz tam iść, prawda?

Siedzieli w tej samej kawiarni nad zatoką, w której byli po przyjeździe Sandry.

- Wiesz, że nie. Niestety uparłaś się, żeby mnie tam zaciągnąć.

- Nigdy nie przyszło ci do głowy, że tam jest twoje miejsce? Twój dom?

Machnął ręką.

- U człowieka, który zamienia wszystko w złoto? Na pewno nie.

- Mimo że może być twoim dziadkiem? - Położyła dłoń na jego rękę.

- Po co to robisz, Sandro?

- Bo cię kocham.

- Sandra! - Nie powinna mu powtarzać, że go kocha, bo nie zdoła od niej odejść.

- Nie musisz się martwić - odparła pogodnie. - Dam sobie radę. Zawsze dawałam. Nie musisz mnie kochać. Chcę ci tylko pomóc.

- Wiem... - Spontanicznie ucałował jej dłoń.

- Daniel, ludzie patrzą - powiedziała speszona, choć przeszył ją dreszcz radości.

- No to co?

- Myślałam, że się tym przejmujesz.

Jego oczy rozblęły.

- A kto tutaj wie, że jesteś Alexandrą Kingston, bogatą panią starego rancza Moondai?

- Czy tak nie jest?

- Wolałbym, żeby tak nie było.

- Wtedy nie byłabym sobą. Przecież mnie lubisz, Daniel. Prawda?

- Inaczej nie jechałbym z tobą do Morelandów...

On też ją kochał, tylko co mógł jej ofiarować? Może za rok lub dwa, jeśli wszystko się powiedzie? Z nadzieją podniósł głowę. Sandra była taka piękna i elegancka. Miała na sobie czarny kostiumik ze złotymi guzikami, białą jedwabną bluzkę, przezroczyste czarne pończochy - po raz pierwszy widział ją w pończochach - i na nogach czarne szpilki. Jej złote loki były coraz dłuższe. Wyglądała szykownie, jak przystało na bogatą i piękną pannę.

Cóż, nie była dla niego odpowiednią damą.

Wizyta u Morelandów nie była wcale nieprzyjemna, jak obawiał się Daniel.

- Chcę, żebyś poznał całą prawdę - powiedziała Helen, gdy wszyscy zasiedli w fotelach. - Historia stara jak świat. Młody potomek bogatej rodziny zakochuje się w ślicznej dziewczynie, która pracuje w jego domu jako pokojówka. Frances, matka Jareda, dowiedziała się o romansie i stwier-

dziła, że to absolutnie wykluczone. Kiedy mąż wyjechał służbowo, a syn udał się z przyjaciółmi na doroczne rodeo do Alice Springs, odprawiła dziewczynę z domu. Tragiczne wydarzenie, które miało miejsce na rodeo, sprawiło, że Frances przez cztery lata szalała z rozpacz. Z biegiem czasu pogodziła się z utratą ukochanego jedynaka. O dziewczynie, którą odprawiła, starała się zapomnieć, gdyż uważała ją za wyrachowaną. Dopiero tuż przed śmiercią coś mi wyznała. „Być może ta dziewczyna była w ciąży” - powiedziała mi. Frances pięć lat po śmierci syna próbowała ją odnaleźć, ale Johanna po prostu zniknęła. Kiedy Frances umarła, długo zbierałam się na odwagę, żeby powiedzieć o wszystkim Joelowi. Mój zmarły mąż zaangażował prywatnego detektywa, i teraz już wiecie wszystko.

Joel Moreland spojrzał na bratową.

- Mamy poważne podstawy sądzić, że jesteś synem Jareda, Daniel. Synem, o którym twój ojciec nie zdążył się dowiedzieć. Wiem, że bez względu na wszystko nigdy nie opuściłby Johnny. Moja żona miała wielkie ambicje wobec niego, znalazła mu nawet narzeczoną. Nie chciała, by twoja matka pokrzyżowała te plany. Frances bała się zdradzić mi prawdę. Przecież chodziło o mojego wnuka! Dobrze, że przynajmniej wszystko powiedziała Helen.

- Prosiłam ją, żeby nie kryła tego przed tobą. - Helen miała łzy w oczach. - Ale Frances upierała się, że nie powinnaś nigdy się dowiedzieć. Zapewne dobrze wiedziała, że Johanna jest w ciąży, ale nie uważała jej za odpowiednią żonę dla swego ukochanego jedynaka.

- Miła kobieta - rzucił ponuro Daniel.

- Pamiętaj, że to twoja babka - powiedział ze smutkiem Moreland. - Rozumiem, co czujesz, Danielu. Może gdyby Jared żył, Johanna znalazłaby w sobie odwagę, żeby powiedzieć mu, że jest w ciąży. Gdybym częściej bywał w domu, wiedziałbym, co się dzieje i nie pozwoliłbym żonie wyrzucić Johanny. Niestety byłem wiecznie zajęty, wciąż podróżowałem. Franee została ukarana, bo straciła nie tylko syna, ale i wnuka. Ciebie, Danielu. Wspominałem o testach DNA, ale są niepotrzebne. I tak wiem, że jesteś moim wnukiem.

- Ja też - dodała Helen Moreland. - Tak bardzo przypominasz Joela z lat młodości. Masz jego oczy, tak samo jak Cecile. Nikt, kto cię z nią zobaczy, nie będzie mieć wątpliwości, że należycie do tej samej rodziny.

Wszyscy czekali na słowa Daniela, który po długim milczeniu spytał wreszcie:

- Czy mogę wiedzieć, czego pan ode mnie oczekuje?

- Chciałbym, żebyś zajął należne ci miejsce w mojej rodzinie. Musisz uwierzyć, że nigdy nie pozwoliłbym Johannie odejść, gdybym wiedział, że nosi w łonie mego wnuka. Twój ojciec też by na to nie pozwolił.

Mówił tak szczerze, że Daniel musiał mu uwierzyć.

- Kto jeszcze o tym wie? - spytał.

- Tylko my czworo - odparł Moreland. - Sandra od razu zauważyła między nami podobieństwo. - Uśmiechnął się do niej. - Ale nic dziwnego, skoro jesteście z sobą blisko.

- Proszę nie zapominać, że Sandra jest dziedziczką Kingstonów, a ja tylko jej pracownikiem.

- Rozumiem twoje uczucia, Danielu. Jesteś dumnym

i uczciwym człowiekiem, co wzbudza mój szacunek. Pamiętaj jednak, że jesteś dziedzicem Morelandów. Czy zgadzasz się na to?

Daniel wstał.

- Przepraszam, ale to trochę za dużo jak dla mnie.

- Naprawdę cię rozumiem. - Joel także wstał i położył rękę na jego ramieniu. - Potrzebujesz trochę czasu, Danielu. Masz go dużo. Ja niestety nie.

- Chyba nie jest pan chory? - spytał ze strachem Daniel.

- Nie, nie, ale skończyłem już siedemdziesiąt lat.

- Ja także - dodała z uśmiechem Helen. - Bardzo się cieszę, że cię poznałam, Danielu. Moje marzenie się spełniło. Dziękuję ci, Sandro, że namówiłaś go, by do nas przyjechał. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

Sandra domyślała się, że Daniel będzie chciał wrócić do swego bungalowu.

- Jesteś teraz bezpieczna - powiedział. - Twój wujek i kuzyn wyjechali do Perth. Zresztą, choć byli nieprzyjemni, nigdy nie stanowili dla ciebie zagrożenia. To były wymysły twojej matki, choć trzeba przyznać, że w jednym miała rację. To nie był nieszczęśliwy wypadek. Jeśli będę ci potrzebny, po prostu zawołaj. Chyba rozumiesz, że nie mogę u was zostać.

- Oczywiście. - Skrzywiła się. - Boisz się, że przyszłabym do twej sypialni.

- Boję się siebie.

- Czy to możliwe, że myślisz o seksie?

- Możesz sobie żartować. Mam swoje zasady.
- To znaczy, że nie zbliżysz się do mnie, dopóki się nie pobierzemy?
- Przestań! Poza tym czy kiedykolwiek ci mówiłem, że cię Kocham?
- Gdybyś był mądrzejszy, tobyś mi powiedział - mknęła ze złością.
- Bez przerwy się wygłupiasz, a ja naprawdę mam problemy.
- Wiem. - Westchnęła. - Ale czy to takie straszne-być wnukiem Joela Morelanda? To uroczy mężczyzna i taki samotny. Pomyśl o nim.
- Wiedziałem, że to powiesz. Ale myślę o mojej matce.
- Ja też, Danielu. Miała takie ciężkie życie. Jednak pomyśl, jak bardzo by się ucieszyła, gdyby mogła się dowiedzieć, że stałeś się prawowitym synem swojego ojca. Bo to jest sprawiedliwe. Ty i twój dziadek nie powinniście płacić za błędy Frances. Oczywiście działałam na własną szkodę. Co ja zrobię, kiedy odejdiesz do Morelandów?
- Zostanę z tobą tak długo, jak zechcesz - odparł z bliskim w oku.

Na razie dobre i to, pomyślała. Wystarczy trochę uporu i kiedyś zdobędzie to, co chce. Kochała Daniela i gotowa była bić się o niego do ostatniej kropli krwi.

EPILOG

Sandra z zachwytem przejrzała się w lustrze. Jutro skończy dwadzieścia jeden lat, a dziś wieczorem na jej cześć zostanie wydane wielkie przyjęcie. Moondai było teraz o wiele szczęśliwszym miejscem niż kiedyś. Daniel w dalszym ciągu zarządzał ranczem, lecz czuła, że niedługo pojedzie do dziadka. Jej starania przyniosły efekt i Daniel bardzo zaprzyjaźnił się z Joelem. Także dzięki jej namowom zgodził się spełnić jego najskrytsze marzenie i dodać drugi człon do swego nazwiska. Teraz nazywał się Daniel Carson-Moreland, ale wszyscy byli pewni, że niedługo to się zmieni. Może, tak jak mu doradzała, będzie Danielem C. Morelandem? Przecież podsunęła mu niejednen dobry pomysł.

Całe Terytorium Północne zelektryzowała wieść o tym, że Daniel Carson jest synem Jareda Morelanda. Nikt nie wątpił, że taki szlachetny i mądry mężczyzna jak Jared na pewno ożeniłby się ze swoją ukochaną, gdyby nie zdarzyła się tragedia. W oczach wszystkich Daniel był godnym następcą swego dziadka Joela Morelanda.

Lloyd Kingston i Berne nie mieszkali już w Moondai. Berne kształcił się na zawodowego pilota, nauka szła mu bardzo dobrze. Lloyd przeniósł się do Perth, miasta, któ-

re zawsze lubił, by być bliżej swoich przyjaciół naukowców. Od dawna był związany z pewną kobietą, z którą przyjechał do Moondai na urodziny Sandry. Uroczystości miały trwać przez cały weekend. Sandra zaprosiła wszystkich znajomych i przyjaciół, ciesząc się, że zobaczy dawne koleżanki i kolegów, z którymi odwiedzała szpital dziecięcy.

Zaproszono także kilku członków rodziny Morelandów, z którymi Sandra zdażyła się już zapoznać. Od razu polubiła Cecile, i to z wzajemnością. Jak mogłaby nie lubić kogoś, kto jest podobny jak dwie krople wody do Daniela?

Pora zejść na dół! Po raz ostatni przejrzała się w lustrze.

- Daniel, Daniel! - szepnęła. - Jeśli chcę być piękna, to tylko dla ciebie!

Jej włosy były upięte spinkami z brylancikami w kształcie gwiazdek. Te klejnoty należały kiedyś do babci Catherine. Biała szyfonowa sukienka na wąziutkich ramiączkach ozdobiona błyszczącymi kryształkami i cekinami wyglądała bardzo romantycznie.

Sandra wzięła głęboki oddech, żeby się trochę uspokoić. Och, Daniel, powiedz, że mnie kochasz! Czy jeszcze się nie domyślał, że na zawsze ma wyryte w sercu jego imię? Że bardzo go pragnie?

Czuła, że ją kocha, ale chce być wierny swoim zasadom. Nie zapomniał, jaki los spotkał jego matkę, która została sama z nieślubnym dzieckiem. Daniel pragnął być odpowiedzialny. Prawdę mówiąc, nawet jej się to podobało.

Już wychodziła z pokoju, gdy nagle ktoś zapukał do drzwi. To pewnie jej matka. Matka i przyrodni brat Michael przyjechali na ranczo bez Jema. Sandra powiedziała

matce, że woli, żeby ojczym nie przyjeżdżał. Jem nigdy nie przekroczy progu jej domu.

W drzwiach stał dziwnie zdenerwowany Daniel. Przez chwilę przyglądał się jej uważnie.

- Wyglądasz jak marzenie! - powiedziała z zachwytem.

- Dziękuję. - Zarumieniła się, a jej oczy rozpałił fioletowobłękitny blask. - Ty też wyglądasz dobrze. Ile wydałeś na ten smoking?

- Wypożyczony.

- Naprawdę? - Leżał na nim znakomicie. - Niemożliwe.

- Oczywiście, że nie. - Uśmiechnął się. - Ale szybko nie kupię drugiego. Czy mogę na chwilę wejść?

- Oczywiście.

Zatrzymał się na środku pokoju.

- Wypiękniałaś na moich oczach - powiedział.

- Chcesz powiedzieć, że kiedyś byłam brzydka? - spytała zaczepnie.

Roześmiał się.

- Byłaś śliczną nastolatką. Ale niedługo to trwało!

- Staralam się.

- No i się udało - odparł, wkładając rękę do kieszeni marynarki.

- Co robisz?

- Chcę ci dać urodzinowy prezent.

- Mam nadzieję, że to coś drogiego - zażartowała.

- Złożyłaś wspaniały dar fundacji zajmującej się białaczką dziecięcą.

- Joel mi pomógł. Naprawdę go uwielbiam. Mój dziadek taki nie był.

- Tak. On jest wspaniały. A ja?
- Sto razy mówiłam, że cię kocham. Nie będę się powtarzać.
- Czy w takim razie mam to odesłać? - spytał, wmacchując aksamitnym pudełeczkiem.
- Najpierw zobaczę, co to jest.
- Alexandro Mary Kingston - powiedział uroczystym głosem - czy zrobisz mi ten zaszczyt i wyjdiesz za mnie za męża? - Nie czekając na odpowiedź, przyciągnął ją do siebie. - Kochana Sandro, jesteś dla mnie wszystkim. Musisz mnie poślubić.
- Och, Daniel! Chyba się rozpłaczę - szepnęła wreszcie, zarzucając mu ręce na szyję. - Myślałam, że nigdy mi się nie oświadczysz.

Wstał i ucałował ją w rękę.

- Jak mogłaś tak myśleć? Przecież wiesz, co do ciebie czuję. Kochamy się. Jesteśmy stworzeni dla siebie. - Otworzył aksamitne pudełeczko. - Ten zaręczynowy pierścionek to mój prezent. Obiecuję, że będę cię kochać przez całe życie. - Włożył pierścionek na jej palec.

- Och, Daniel! - Patrzyła na wspaniały szafir otoczony wianuszkami brylancików. - Naprawdę zaraz się rozpłaczę.

- Nie teraz. Musisz wyglądać wspaniale na przyjęciu. Potem będziemy płakać, pieścić się i całować. Ale nie zostaniemy na razie kochankami. Dopiero po ślubie, i obiecuję ci, że to będzie najpiękniejsza noc w naszym życiu. Wierzysz mi?

- Zawsze ci wierzyłam, Danielu. Powiedz, kiedy się pobierzemy, bo nie mogę się już doczekać.

- Ja także. Może na Nowy Rok. Czy to nie za mało czasu, bo pewnie będziesz chciała urządzać huczne wesele?

- Najhuczniejsze!
 - Podoba ci się? - Chwyć ją w ramiona.
 - Jest przepiękny! Kocham cię!
 - To właśnie chciałem usłyszeć. - Całował jej szyję, wdy chając słodki zapach perfum. - Nie miałem wątpliwości, że to musi być szafir. Wspaniały klejnot w kolorze twoich oczu.
 - Czy jeszcze mnie pocałujesz?
 - Nie kuś mnie. Jeden pocałunek i od razu straciłbym głowę
Zaczekajmy z tym do jutra. Na razie ucałuję tylko twoją dłoń.
 - Och, Daniel - szepnęła osłabłym ze wzruszenia głosem.
 - Zobaczysz, jak cię będę pieścić później.
 - Wiem. - Dreszcz przeszedł jej po plecach. - Nie mogę się już doczekać.
 - Ja też! - Położył dłoń na jej pulsującej szyi. - Pomyśl mamy przed sobą całe życie.
- Nagle zrobiło jej się tak cudownie lekko. Wzięła go pod ramię i ruszyli w kierunku drzwi.
- Całe życie! - powtórzyła z zachwytem.